Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena zł 1.20

wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

Rok X Warszawa, dnia 6 września 1953 r. Nr 36 (422)

WOJCIECH SMUŁA

Mądra księga nowego

Swoją drogą śmieszna rzecz, jak ciężko ludzi przekonać do „nowego", nawet wtedy, gdy to „nowe" jest tak zrozumiałe, jak mądra księga. I trudno nieraz pojąć, czemu ludzie w mądrej księdze doszukują się przed czasem pustych lub zaklejonych stronnic.

Kiedy Franciszek Kiciński zwierzył się sąsiadom ze swych zamiarów powiększenia hodowli do trzech krów i czternastu tuczników — podniósł się w Sadowcu ogromny śmiech. Jak powiat wieluński — powiatem nie było tu takiego śmiałka, co by na takim gospodarstwie próbował wyżywić tyle gadziny bez strachu, aby samemu nie być przez nią pożarty razem ze strzechą na chałupie i domowymi muchami.

Kiciński tłumaczył: założę trwałą bazę paszową.

— Jaką znowu bazę? — pytano.

— No, wiecie, to będzie taka zielona taśma. Z tej taśmy przez cały równiutki rok płynąć będą dla inwentarza zielonki. Widziałem ja taką taśmę na Wiśle, była różnokolorowa. Tam płynęły barki z węglem, cementem, żelazem... Dla miast i wsi!

— A na czym ty tę bazę założysz?

— Na czym? Na rezerwach! W książkach pisze, moi drodzy, że nawet w takim niewielkim, jak moje, gospodarstwie tkwią rezerwy. Ja te rezerwy wydobędę, o tak... — demonstrował plastycznie przy pomocy rąk, jakby podważał łopatą skibę spalonego ugoru.

— Ho, ho... — pokpiwano — ziemia to nie kasa ogniotrwała pana dziedzica, co z niej brał — ile chciał a już do takiej ziemi, jak twoja, to żaden kluczyk nie pasuje. Miarkuj dobrze, Kiciński, co byś głupstwa nie strzelił. Widział to kto trzy krowy i czternaście świniaków?

Są chwile, w których trzeba przykucnąć i wyczekać. Czasami należy się zaczaić i siedzieć cichutko, jak mysz pod miotłą Tak uczynił Kiciński. Któregoś z owych słotnych wieczorów jesiennych otoczył się książkami, wziął do ręki ołówek i przeprowadził w cichości uzasadnioną kalkulację swych potrzeb paszowych. Gruby zeszyt w tekturowej oprawie zapełniał się cyframi. Niepokoiły one trochę Kicińskiego. Wyślizgiwały się spod ołówka duże i brzuchate — trzy i czterocyfrowe. Takimi cyframi Kiciński, jak żyje, nigdy nie operował. O przepraszam! Trzymała się go od dawien dawna jedna taka trzycyfrowa liczba z przecinkiem po środku i jak dotąd przysparzała wiele kłopotów. Jaka to była ta liczba? Ano, ta, co ją wymieniał przy każdym spisie, albo kreślił obok swego nazwiska: trzy przecinek osiemdziesiąt! To znaczy 3 hekt-y 80 arów! Tyle, ile mierzy jego gospodarka, przysiadła okrakiem na lekko wzniesionym garbie, na „wydmuchowisku" — jak mawiają ludziska.

Była to jednak cyfra nie budząca, jak dotąd, żadnych wątpliwości: ani nie urośnie, ani z niej nic nie ubywa! A jednak teraz, wciskając ołówkiem w białe stronnice zeszytu duże i brzuchate, na podobieństwo dobrze spasionych tuczników — cyferki, pojął nie bez zdziwienia, że przestał już mierzyć tamtą starą miarą „3,80 ha", że ziemia rozciąga mu się, jak guma na wszystkie strony. Byłaby to jakowaś złuda?

Kiedy postawił wreszcie ostatnią kropkę i opatrzył swój zeszyt wielomówiącym napisem: „Bilans paszowy Franciszka Kicińskiego na rok 1953" — pomedytował jeszcze przez chwilę, a potem w nagłym postanowieniu położył u dołu drukowane motto: „Wszystkie rezerwy na front!". Od tego momentu sprawa była przesądzona. Franciszek Kiciński zbierał się do szturmu!

Jeszcze tej samej jesieni, na dobrym stanowisku po rzepaku, zasiał na paszę zieloną 20 arów żyta. Rosło ładnie. Część tego żyta podpędził na wiosnę saletrą, aby można je było wcześniej skosić — część pozostawił jako rezerwę na dalsze tygodnie. 25 kwietnia wszedł z kosą w saletrowane żyto. Krowy dostały najpierw po 10 kg zielonki, potem po 15 kg, a po kilkunastu dniach już po 25 kg. Mleka przybywało z każdym dniem, tak jakby się krowy drugi raz wycieliły.

Zlewniarz robił zdziwione miny: — Cóż wy, Kiciński, rzeczkę z mlekiem odkruliście? Inni dopiero zaczęli odstawiać, a wy już z planem rocznym w kieszeni...

Kiciński nic chwilowo nie mówił. Bo i po co? Przekonają się sami, kiedy rozhuśta swoją zieloną taśmę, kiedy zapatrzą się w nią z takim samym nabożeństwem, z jakim on śledził różnokolorowy strumień barek na Wiśle. W połowie maja wyprowadził swoje krowy na kwaterowiska i lucernie. Tej lucerny miał 24 ary: 18 arów starszej, trzyletniej i 6 arów zeszłorocznej. Była to doskonała pasza. Krowy pędziły mleko — tucznikom narastało sadła. Ważył świniaki przez pewien czas i skonstatował z zadowoleniem, że przy dawaniu im do karmy — do ziemniaków i ospy — zielonek, przyrastały na wadze po 80 dkg dziennie. To dobrze, niech rosną! Będzie wcześniej odstawiać!

15 czerwca, tak jak to sobie zaplanował, otworzył Kiciński dla bydła kwaterowiska na 12 arach wyki. Natomiast w lipcu skarmiał mieszanką. Przygotował jej 10 arów, z tym, że 5 arów zasiał później, aby krowy miały stały dopływ świeżej paszy przez cały miesiąc. Potem przystąpił do drugiego pokosu lucerny.

To była prawdziwie obfita, szczodra zielona taśma. Kiciński zaglądał raz za razem do swego bilansu: co dalej? Teraz wypadały poplony. Na dalsze tygodnie żywienia. Z rozmachem wszedł w pole i siał: wykę, łubin pastewny, trochę owsa, trochę seradeli i oczywiście peluszkę. W jeden dzień obsiał 56 arów. Starczy na zielone i zostanie na siano!

Ale i o zimie trzeba pamiętać. Jak to tam jest w tym jego bilansie? Aha, dwa silosy, a do każdego z nich po 10 wozów liści buraczanych, łubinu, kapusty pastewnej i siana. Jeżeli chodzi o siano, to ma go pod dostatkiem. Na 35 arach założył przecież na polu sztuczną łąkę: mieszankę koniczyny z trawami szlachetnymi. Łąkę wynawoził jesienią dobrze rozłożonym, dwuletnim kompostem. Zarówno pierwszy, jak i drugi porost trawy był bardzo gęsty. A przecież Pęczak się śmiał: nie szkoda wam, Kiciński, żytka? Kiciński odpowiadał: nie szkoda, bo idzie o krówki! No i kto się teraz śmieje? Pęczak zebrał z 35 arów — niecałe 4 kwintale żyta, Kiciński — przeszło 25 kwintali doborowego siana.

Z obornikiem było tak samo. Kiedy Kiciński rozpoczął budowę wzorowego urządzenia dla pryzmowania obornika — śmiał się z kolei Kubera — po co wam te koszty? Po co? i bez basenu śmierdzi tak samo, choćbyście perfumą skropili.

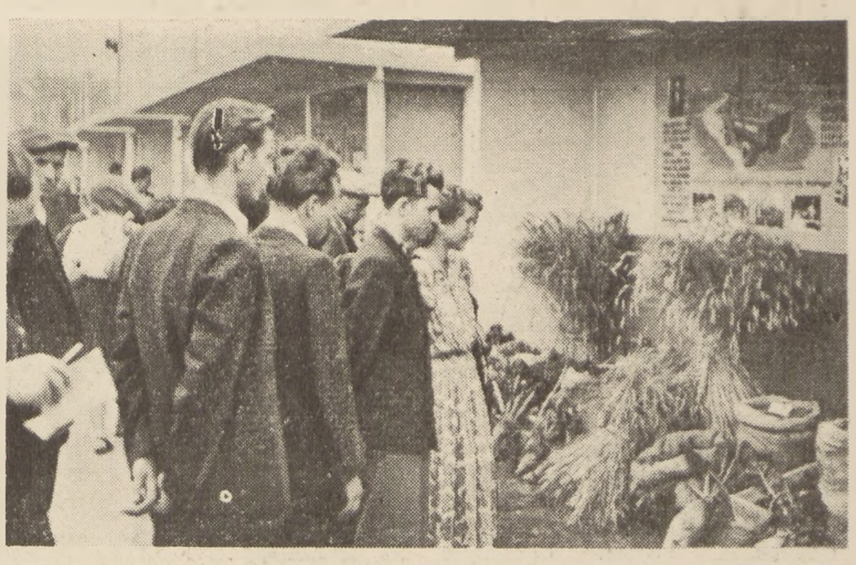
No i kto się teraz śmieje? Kiciński dobrze wypraktykował, że wskutek złego przechowywania obornika traci się od jednej sztuki dorosłego inwentarza mniej więcej tyle azotu, ile znajduje się w 100 kg saletry i tyle potasu, ile jest w 50 kg, czterdziestoprocentowej soli potasowej. Zapobieżenie tym stratom dało mu od jednej krowy zwyżkę plonów, dochodzącą do 2,5 kwintala zboża.

W świadomości ludzi z Sadowca nastąpił ważki przełom zaledwie kilka tygodni temu. Stało się to wówczas, gdy Kiciński zaproponował chłopom manifestacyjną odstawę ziarna do punktu skupu. Tym razem nikt nie oponował Pojechali wszyscy, jak jeden mąż. A po drodze na punkt raz po raz dosiadał się któryś na furmankę Kicińskiego i długo z nim konferował. Padały jakieś cyfry, Kiciński zataczał ołówkiem szerokie kręgi, jakby chciał zgarnąć do notesu palące promienie słońca. Wrócili z punktu zmęczeni, ale z wesołością w sercach. Największy powód do radości miał Kiciński: oto korzystając z jego rad i wskazówek Kubera, Konieczny, Mostowski, Pęczak i Mistygacz postanowili natychmiast przystąpić do budowy urządzeń dla pryzmowania obornika, a w przyszłym roku założyć zielone taśmy i silosy. Urzekł ich sposób nowoczesnego gospodarowania.

Jest przecież w gospodarowaniu Kicińskiego coś z mądrej księgi. Nie ma w niej ani pustych, ani zaklejonych stronnic. I swoją drogą śmieszna rzecz, jak trudno było przekonać ludzi z Sadowca, że księgę tę wystarczy otworzyć, aby zrozumieć wszystko! Otworzy ją Kiciński na Zjeździe Przodujących Chłopów i dożynkach w Szczecinie.

Wojciech Smuła





SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

ŁOWICKIE DOŻYNKI

JAK grzyby po deszczu wyrosły pawilony na 5 ha łowickich błoni w łuku Bzury.

Dzień i noc trwała praca, w promieniach słońca i w deszczu — aż nieużytkowy teren błoni w ciągu kilku zaledwie dni zamieniono w mieniące się wszystkimi kolorami tęczy wystawowe miasteczko, które w dożynkową niedzielę zaludniło 10.000 zwiedzających.

W wielu dziesiątkach pawilonów spółdzielni produkcyjnych, PGR-ów, POM-ów zgromadzono tysiące eksponatów wzorowych upraw zbożowych, warzywnych, sadowniczych — dalej żywe okazy hodowli, jeszcze dalej maszyny uprawowe i sprzętowe, obok — urządzenia wzorowych świetlic, przedszkoli, Technikum Rolniczego w Blichu, wreszcie pawilon prasy i książki.

— Setki lat musiał czekać Łowicz, by doczekać się takiego święta, takiej oprawy codziennej pracy ludu Ziemi Łowickiej, takiej wystawy...

Gromady ludzi zatrzymywały się przy stoiskach, podziwiając wystawione zbiory, piękne dziewczęta z barwnymi wieńcami rozpoczynały dożynkową paradę radości.

Gdy potok ludzki dosięgnął kiermaszowej części Wystawy gdzie GSy i PSS prezentowały i oferowały bogactwo artykułów przemysłowych i spożywczych — a w takt ludowych melodii, w radosny tan ruszyły rozbawione pary — zaczepił mnie pewien chłop z sąsiedniego powiatu wyraźnie wzburzony i zaczął mówić.

*

— O Jackowicach toście w tej waszej „Wsi" napisali, nie można powiedzieć... O ludziach, o krowach, o bykach, o ziarnie i sianie — a o nas, o Polichnie, ani dudu... A byliście, notowaliście, szumu narobiliście tyle, jakby co najmniej był w przygotowaniu specjalny numer dla Polichna. Ej — nieładnie, nieładnie, redaktorze. I jak wam tu wierzyć?

— Łowicz toście zobaczyli z wierzchu i od spodu, jak jakiś „dochtor", a Piotrków i piotrkowska ziemia, to dla was co, nieważna?

— Do mieszkań w Jackowicach toście wchodzili, dzieciska oglądali i baby; ze Szkopiakowej cebuli na przyzagrodowej działce i jego 4.000 dochodu prawieście całą powieść zrobili — a o naszym Bąbolu, co kiedyś miał 1,6 ha, 6 dzieci i walącą się w gruzy kurną lepiankę, a dziś (będąc w polichnowskiej spółdzielni) ma jasny, nowy dom i pracę i zarobek — to pisać nie warto, czy co?

— „Spółdzielnia w natarciu" powiadacie o Jackowicach i słusznie, ale my to co? Nie w natarciu, pytam się was? A niech was dunder świśnie, jak wy tego u nas zobaczyć nie chcecie.

— Że obora jest chlubą Jackowic toście bystro spostrzegli, a że nasze 41 świń to chluba Polichna — uważacie, że nie ważne? I nie ważne może dla was, żeśmy świniaków 20 zakontraktowali, 14 już odprowadzili, jeszcze 6 tylko mamy do oddania a **zobowiązaliśmy się i oddamy państwu 100 proc. zakontraktowanej trzody ponad plan,** przed zakończeniem roku finansowego? Nieważne, co? To nie spółdzielcze natarcie dla was, nie?..

— Jackowickie trudności z węglem, troskę o zarodową oborę i trudności jej tworzenia toście zauważyli, zapamiętali, a że my to ta sama polichnowska spółdzielnia, która w pierwszym roku istnienia powodziowemu zniszczeniu uległa, z 13 ha zaledwie 325 q kartofli w następstwie zebrała i ta co w pierwszym roku w banku na koncie 18 zł miała — a teraz, po uregulowaniu pierwszych rat wszystkich podatków ma 11.800 złotówek na inwestycje, toście zanotować nie raczyli, hę?

— Jackowickie natarcie dalibóg pięknie opisaliście, a naszej polichnowskiej wojny o rzepak, a naszego boju o paszę — nie widzicie?

— Szkopiaków i Cieślaków dniówki przesłaniają wam wszystko — a jak u nas Dróżdż, agitował za rozwojem spółdzielni? Gdy kułackie anonimy otrzymywał z groźbami — rozeźlił się i na wariata babom niewierzącym tłumaczył, że dniówkę 15 złotówek na pierwszym, najgorszym etapie gwarantuje i jeśli się myli, powiesić się da, to tego w Waszej „Wsi" nie notujecie? Nie warto? Co? A że 17.50 wyszło i Drożdża wieszać nikt nie zamiarował... a że latoś 22 złotówki dziennie wyniesie dniówka, to czy w tym „wzrostu materialnego dobrobytu świadczącego o ciągłym wzroście stopy życiowej" nie widzicie tak, jak w Lebiodowej elegancji, zegarku i „sposobie bycia i rozmowy"? A dlaczego?

— Jackowicki węgiel was boli i słusznie. A dlaczego pytam, to, że my kafle mamy, lokal dajemy, swietlicę dla ZMP i całej gromady ufundować chcemy, ale do tych kafli na budowę pieca grosiwa by się przydało a dostać nic znikąd nie możemy — nie jest dla was momentem godnym uwagi? Cały remont przeprowadziliśmy sami, własnymi siłami, ZMP-owska organizacja usunęła gruz z budowy — jeszcze tylko ten piec...

— Spółdzielnia w natarciu, powiadacie... Macie rację. Jesteśmy pełni uznania dla Jackowic, ale powiadamy: minęły już te czasy, kiedy „natarcie" prowadzono na wąskich odcinkach frontu. Każda spółdzielnia prowadzi dziś w pewnym sensie natarcie — nie tylko w Łowickiem Tak samo w Olsztynie, jak w piotrkowskiej ziemi. Piękny jest przykład Wyborowa, ale czy wy w prasie nie powinniście pisać o **typowości sprawy?** Bo dopóki piszecie o Jackowicach, jako takich, to my mamy pretensję, żebyście i o nas pisali. U nas w Kamocinku powstała spółdzielnia dzięki polichnowskiemu przykładowi! Tow. **Nawara** przywiózł dwie kobiety stamtąd do Polichna i też nie wiedząc kiedy „stał się agitatorem", zupełnie jak ci w Jackowicach. I dobrym widocznie skoro kobiety te, zobaczywszy wyniki polichnowskiej pracy kolektywnej, pomogły przełamać ostatnie trudności i w kilka dni po tej bytności u nas powstała w Kamocinku spółdzielnia! Podobnie rzecz się miała w Dziewulinach. Jackowice nie mają tu monopolu — ot co! I to powinniście byli w swoim artykule podkreślić! Byłby on wtedy pełniejszy i głębszy, a tak może na upartego wyglądać, że z wielkim trudem udało się wam w jednych tylko Jackowicach wyszperać ślad politycznej roboty spółdzielców, nie widząc aktywu spółdzielczego w ogóle!

— Tak dużo wiecie, a czyście zapomnieli jaka była nasza droga do spółdzielni? Jak **Dróżdż** chodził od chałupy do chałupy, gdy kułacy, jak tam, w Łowickiem „karmili chłopów bzdurą nadziewaną plotką"? Albo jak postanowiliśmy (i dotrzymamy) że **w przyszłym roku będziemy pierwsi w powiecie?** A tego jak był sobie u nas stary **Janas** — wiecie o tym dobrze — zdawało się, wróg spółdzielni... I był sobie stary **Czapla,** jeden z założycieli spółdzielni i pierwszych aktywistów spółdzielczych... Otóż stary **Janas** miał syna, a stary **Czapla** córkę. I — patrzcie — wziął młody Janas córkę „kołchoźnika", aż się stary boczył... A dziś? Dziś już zmienił się i stary Janas, innym patrzy okiem na synowski „mezajlans" Tak to zmieniają się ludzie w Polichnie!...

— My wychodzimy na Wystawę w Piotrkowie za kilka dni z wynikami produkcji polnej, właściwego wykorzystania ziemi, prac melioracyjnych, z naszym budownictwem, z naszym przedszkolem wreszcie. I znów — widzieliście to przedszkole, zauważyliście sami, że jest ono typowym przykładem działania spółdzielni na rzecz całej gromady, boć przecież 4/5 dziatwy rekrutuje się z grona pozaczłonkowskiego, czyli w ten sposób okazujemy czynną pomoc chłopom indywidualnym, oszczędzając im troski o dzieci w czasie robót w polu. 10 zł miesięcznie zaledwie płaci rodzina za dziecko. Przedszkole utrzymuje Wydział Oświaty, rodzice dzieci i spółdzielnia w każdej potrzebie dodaje od siebie warzywa, ziemniaki itp. Lokal dała spółdzielnia. Remont też był nasz. I przecież to wszystko widzieliście! Zwróciliście też sami uwagę na **Danutę Piecyk,** córkę przewodniczącego spółdzielni z Głupic, która jest u nas kierowniczką, wychowawczynią, nauczycielką i wszystkim w przedszkolu prócz kucharki, bo tę funkcję pełni kto inny. Próbowaliście nawet bodaj obiadu w tym przedszkolu, bawiliście się z dzieciakami, robiliście fotografie no i co? Kto o tym wie? Kto widział te fotografie? A przecież nawet wzorowe łowickie Jackowice na tym polu mają osiągnięcia mniejsze, przedszkola u nich brak — więc czy nie warto było wspomnieć o tym w artykule? Jeszcze ludzie pomyślą, że jak w takich Jackowicach nie ma przedszkola to już chyba nigdzie! Reklamy to my nie potrzebujemy, ale jak się już przyjeżdża i coś bada to chyba po to, żeby **napisać** a nie po to, żeby tylko delegację służbową ostemplować. A fotografie chociaż nam sami byście przysłali, ot, to bylibyście naprawdę porządny człowiek!...

— Tę **Szachogłuchowicz** czy jak jej tam, z piotrowickiego POM-u toście zaznaczyli w artykule o „spółdzielni w natarciu". A nie pamiętacie to, jakeście z naszym **Krogulskim** z Piotrkowskiego POM-u, brygadzistą przodującej brygady, spotkali się i z Sierantem, traktorzystą, gdy jechali do **Meszni** pomóc w zbiorach indywidualnym gospodarzom, małorolnej **Woś, Kozłowskiemu** i innym? I wy mówicie, że interesuje was pomoc spółdzielcza i POM-owska dla indywidualnych rolników!

— Ot dużo by, widzicie, było do napisania. Bo my Jackowicom łowickim życzymy z całego serca coraz lepszych wyników, ale tak po chłopsku, po naszemu, powiadamy, **że wcale od nich nie chcemy być gorsi** i robimy co możemy, żeby dojść do jackowickiego poziomu. Tym bardziej, że z niejednym u nas lepiej, jakżeście się sami przekonali, kiedy byliście u nas, że wspomnę tylko przedszkole no i — **rozwój czytelnictwa.** To, jak się tam u was nazywa „nasycenie prasą" i czytelnictwo książek, u nas lepiej wygląda, jak w Jackowicach. Gdyby się Jackowice o tym dowiedziały, że przy całym swoim faktycznym przodownictwie **pozostają w tyle za nami** w tej dziedzinie — **wzięłyby na ambicję,** a jak wyście **zalukrowali** to swym milczeniem — no to nici z tego i swego zadania nie spełnicie, choćby nawet sam wasz naczelny redaktor myślał inaczej...

— Oczywiście, my sobie tak chwilami myślimy, żeście o naszych sprawach dotąd nic nie napisali tylko dlatego, że my dopiero we wrześniu szykujemy u nas w Piotrkowie Wystawę taką, jak teraz w Łowiczu. Może wyście sobie zaplanowali że napiszecie jeszcze raz coś o tych wystawach i wtedy na nas przyjdzie kolej... Ale kto was wie i kto za wami trafi?...

*

Ten głos ob. **Czuby,** członka spółdzielni produkcyjnej w **Polichnie, Dróżdża** — jej przewodniczącego, i **Siekaczyńskiego,** który „nie lubi propagandy" dźwięczy mi wciąż jeszcze w uszach.

Sergiusz Jaśkiewicz

Z listów do chłopów

Do Michała Hery

chłopa - spółdzielcy z powiatu chojeńskiego

„Posłuchałem plotek wrogów. Mówili oni, że cały dochód spółdzielczy zabierze państwo. Dziś zobaczyłem, że to nieprawda". (Z przemówienia na zebraniu spółdzielczym).

Wiem, było ciężko. A przecież już się nauczyłeś
Wymawiać słowo „nasze". Cofnąłeś się. „Moje!"
I zaparłeś się. Zawistnie, na siłę,
Kłamiąc sobie samemu. To „moje" — nie tylko twoje.

Przyszły długie wieczory. Łamał się ołówek,
Gdy pod cyfr kolumną sumowałeś: gorycz.
I po miesiącach spostrzegłeś, że najprostszy rachunek,
To rachunek sumienia. Cierpki i surowy.

Buchalterię twoją jak wyrazić w skrócie?
Ma: osiem hektarów. Winien: obfitość ziemi żyznej.
Ma: zboża — ot, że ledwo. Winien: szczecińskiej Hucie.
Ma: wolność sobiepańską. Winien: Ojczyźnie.

I w końcu — Ma: dochód taki a taki.
Winien: tyle i tyle.
Cyferka nieduża. Jej ziarno rozdziobią ptaki.
Cyferka lekka, rzekłbyś — motylek.

Ni sobie — w końcu — ni ludziom. Wieczory — samotne,
Wiatr tylko hula zły, że płot w drzazgi by łamał.
I nadszedł dzień, że wróciłeś. Rzekłeś głosem smutnym:
Przyjmijcie mnie z powrotem. Wróg mnie okłamał.

Michale Hero! Trudno tobie i gorzko zrozumieć,
Że się było rok własnego sumienia wrogiem.
Żeś słabość swoją pokonał — twoje prawo do dumy.
Zapisz w zeszycie: Ma — przyszłość. Winien — wspólną drogę.

WITOLD WIRPSZA

ANDRZEJ SZARSKI

NIEZAPOMNIANE DNI KONGRESU



Przemawia przewodniczący Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Związ ku Studentów — Bereanu
rys. J. Zebrowski

OD rana autokary przywoziły na Bielany do AWF rozbawionych i roześmianych delegatów. Grupy młodzieży rozsiadły się na trawnikach. Wielki dziedziniec mienił się wszystkimi barwami tęczy: tu różowił się strój delegata Tybetu, tam zabłysły bajecznie kolorowe sarongi Hindusek, a gdzie indziej ukazał się koloru khaki mundur żołnierza z Vietnamu. Rozbrzmiewają rozmowy we wszystkich językach świata.

Nie wiele trzeba, by zawrzeć znajomość — wystarczy jedno słowo, jeden uśmiech.

*

Na sali cisza. Wszyscy słuchają w skupieniu. Giovanni Berlinguer — sekretarz generalny Międzynarodowego Związku Studentów wygłasza sprawozdanie MZS. Obrazuje wstrząsające warunki życia studentów w krajach kapitalistycznych, mówi o niedopuszczaniu na studia młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego, o walce studentów o demokratyzację studiów i poprawę warunków bytu.

— „We Francji — mówi G. Berlinguer — tylko jeden procent studentów na wydziale pedagogicznym Uniwersytetu Paryskiego pochodzi z rodzin robotniczych, a jeden i jedna dziesiąta procent studentów — z rodzin chłopskich".

W Szkocji stypendia są tak małe, a koszty studiów tak wielkie, że — (mówca cytuje broszurę wydaną przez Zrzeszenie Studentów Szkockich w 1953 roku) — „student zależny wyłącznie od stypendium, nawet jeśli nie pali i nie pije, nie uczęszcza do teatrów ani do kin, nie oddaje bielizny do prania, nie strzyże się i nie oddaje obuwia do reperacji, nie czyści zębów, nie goli się, ani się nie myje, czasopisma czyta tylko w czytelniach publicznych, a mieszkanie i utrzymanie ma zapewnione tylko przez 30 tygodni w roku — **staje wobec ogromnego deficytu** w wysokości około 50 funtów rocznie".

Ale studenci świata walczą. Referent mówi o strajku 20 tys. studentów w Peru; o walce studentów Francji o ubezpieczenia; o demonstracjach studentów w Kanadzie.

— Tak wczoraj, jak i dziś — mówi referent — pracujemy, marząc o piękniejszym, szczęśliwszym i sprawiedliwszym jutrze. Pracujemy dla przyszłości, w której zdobycze kultury staną się własnością ogółu, w której cała ludzkość będzie wolna od strachu przed niepewnym jutrem.



Powitanie delegacji radzieckiej



Na Kongres przybywają delegaci z dalekiej Południowej Afryki. Młody Murzyn wzruszony jest serdecznym powitaniem swoich białych kolegów

*

Wielka hala, w której odbywa się Kongres, przedzielona jest zasłoną na dwie części. Jedną z nich — większą, zajmuje sala obrad; drugą, mniejszą — poczta, bufet, stoisko „Cepelii", kiosk „Międzynarodowej Książki i Prasy". Ten właśnie kiosk cieszy się wśród delegatów olbrzymim powodzeniem.

Młody skandynawski biolog kupuje książki Łysenki w tłumaczeniu angielskim. Studentka filologii z Francji odchodzi niosąc „Żniwa" Nikołajewej. Delegat Meksyku wraca na salę z całą stertą książek, wśród których można łatwo poznać bordo okładkę hiszpańskiego wydania „Zagadnień leninizmu" Stalina.

Przez pierwsze trzy dni Kongresu sprzedano około 6.000 książek; szczególnie popularne są przekłady radzieckich powieści, literatura polityczna i słowniki.

*

Piosenka jest międzynarodowym językiem Kongresu. Gdy tylko zbierze się nieco większa grupa delegatów, zaraz rozbrzmiewa śpiew.

Przed rozpoczęciem obrad pod cienistą wierzbą zebrali się delegaci różnych krajów. Tu błyśnie biały burnus Sudańczyka, tam czarna obwieszona dziesiątkami wisiorków i znaczków czapka Włocha.

— Polska! Polska! — skandują delegaci. — Jest to wezwanie, by Polacy śpiewali. Rozlega się melodia „Kukułeczki" a potem „Pochód przyjaźni".

— Francja! Francja!

— Bułgaria! Bułgaria!

Każdy kraj musi coś zaśpiewać, musi przedstawić się piosenką innym.

Piosenka wszystkich zbliża i łączy.

*

— Udzielam głosu pani Isabelle Blume, przedstawicielce Światowej Rady Pokoju — mówi przewodniczący sesji. Na sali huragan oklasków. Zebrani słuchają wezwania, aby jeszcze silniej włączyli się do walki o pokój.

Isabelle Blume nawiązuje do wiekopomnego dzieła Kopernika wskazując, że tak, jak on odważnie walczył przeciw średniowiecznej ciemnocie, tak dziś studenci, wstępując w jego ślady, powinni walczyć z podżegaczami do nowej wojny.

— Czyż nie widzicie — podkreśla mówczyni — że gdy pójdziemy tą drogą wszyscy razem ręka w rękę: robotnicy, chłopi, studenci, obrońcy pokoju — będziemy mogli dać światu chleb, pokój i wolność.

Andrzej Szarski



Dziedziniec Akademii Wychowania Fizycznego — miejsce radosnego spotkania
rys. J. Zebrowski

Rozmowy z delegatami

Francuscy miczurinowcy

U nas na wydziale nauk przyrodniczych w Marsylii — mówi mi Jacqueline, członkini delegacji francuskiej — ani słowa o Miczurinie, czy Łysence nie usłyszysz... Kiedy raz kolega spytał profesora, czy czytał dzieła wybrane Miczurina, ten uniósł się gniewem i oświadczył: „Czytałem czy nie, to moja sprawa! Za takie aroganckie pytanie następnym razem usunę pana z sali!".

W tym momencie podszedł do nas Roger, studiujący w Paryżu nauki przyrodnicze.



Tysiące autografów...
rys. J Zebrowski

— U nas pod tym względem, nie jest lepiej — powiedział. — Oficjalne nauczanie nie uznaje nauki Darwina. Istnieje jednak we Francji Towarzystwo Przyjaciół Miczurina. Jego członkami są profesorowie, studenci, a nawet niektórzy chłopi. Liczy ono około 3.000 członków. W warunkach polskich nie byłoby to dużo, ale jak na Francję, to zupełnie nieźle.

Towarzystwo wydaje biuletyn popularyzujący darwinizm i zamieszcza przekłady prac radzieckich, jak również prace swych członków. Poza tym organizuje wystawy w różnych miejscowościach. Na tych wystawach chłopi francuscy poznają osiągnięcia radzieckiej nauki rolniczej. Towarzystwo organizuje także odczyty.

Wszystkie te imprezy cieszą się wielką popularnością. Gdy wygłaszałem na wsi odczyty — mówi Roger dalej — sala była zawsze przepełniona.

Poza tym Towarzystwo sprzedaje chłopom ziarno selekcyjne. Dawniej w tym celu sprowadzaliśmy najlepsze ziarno ze Związku Radzieckiego; obecnie rząd zakazał przywozu z ZSRR nawet zboża selekcyjnego.

— Jak widzicie nawet ziarno jest niebezpieczne dla francuskiego rządu — kończy swe uwagi Roger.

Słaby to rząd, co się ziarna boi...

Często głodowałem...

Giovanni Battista Signoroppi mówi:

— Urodziłem się w Kalabrii. Mój ojciec był górnikiem; posiadał również 2 ha ziemi.

Kalabria — to najuboższa prowincja Włoch. Przemysłu tam nie ma; ziemia nieurodzajna; wieś jest straszliwie przeludniona. Chłopi pracują u obszarników. Ale nawet taką pracę mają tylko w ciągu pięciu miesięcy w roku. A zarobek za 10 godzin pracy nie wystarcza nawet na skromne utrzymanie.

— Nic też dziwnego — zaznacza mój rozmówca — że rzadko kiedy ktoś z rodziny chłopskiej dostaje się na studia. Jak można studiować przy zarobku dziennym 400 lirów, gdy książka kosztuje 4.000?

— Dostałem się na studia — opowiada Signoroppi — tylko dzięki wielu latom ciężkiej pracy. Często głodowałem... Brak środków do życia zmuszał mnie już kilka razy do przerywania nauki. Dlatego kończę dopiero drugi rok studiów, chociaż mam już trzydziestkę na karku...

Lud Senegalski burzy się

Staliśmy przy bufecie i kupowaliśmy papierosy.

— Skąd pochodzisz? — spytałem.

— Z Senegalu.

— Opowiedz mi o życiu w twoim kraju...

— Nie będzie to wesołe opowiadanie — zaczyna Bauna Fall. — Prawie cała trzy i pół milionowa ludność Senegalu żyje z rolnictwa. Trudno to zresztą nazwać życiem; jest to raczej okropna wegetacja. Rolnik jest okradany przez handlarzy, którym oddaje większą część zbiorów. W rezultacie przez 8 miesięcy w roku głoduje. Ludność organizuje masowo polowania na szczury mimo że spożywanie szczurzego mięsa wywołuje tzw. dżumę Sawanny z masowymi śmiertelnymi wypadkami.

Chłop w Senegalu (a tak samo jest i w innych koloniach w Afryce) jest tak biedny, że cała jego odzież stanowi koszula, para spodni i nic więcej.



Fall-Bouna, delegat z Senegalu
rys. J. Zebrowski

Rzecz jasna, że o nauce w ogóle nie można mówić. Ze wszystkich afrykańskich kolonii francuskich studiuje we Francji zaledwie 700 studentów. Są to potomkowie tubylczej arystokracji lub urzędników kolonialnych.

— Jeżeli chodzi o mnie — dodaje Bauna Fall — to ojciec mój jest dość wysokim urzędnikiem kolonialnym — szefem kantonu. Dziad mój był królem... Gdybym nie pochodził z arystokracji, nie mógłbym w ogóle studiować.

— Takie porządki w Senegalu głęboko mnie oburzają — kończy Fall. — Solidaryzuję się z walką mojego ludu. Dlatego też wstąpiłem do Demokratycznego Stowarzyszenia Afrykańskiego i będę walczył z uciskiem kolonialnym, póki kraj mój nie stanie się wolny.

BOLESŁAW LESMAN

TĘDY DROGA DO PRZEBUDOWY

Historia ta zaczęła się w marcu br. od jednego z dziesiątków tysięcy zobowiązań, jakie podejmowano w miastach i wsiach całej Polski po śmierci Józefa Stalina. Grupa asystentów Instytutu Medycznego Pracy łódzkiej Akademii Medycznej postanowiła wówczas otoczyć opieką lekarską jedną z gmin w województwie łódzkim. Zobowiązanie brzmiało: uruchomić ośrodek zdrowia, do którego w każdą niedzielę przyjeżdżałoby kilku lekarzy różnych specjalności.

Po długich rozważaniach wybór padł na gminę Żelechlin w powiecie rawsko - mazowieckim. Daleko od większych ośrodków przemysłowych, trudna komunikacja, 10 km. do najbliższej stacji kolejowej, piaszczysta i uboga ziemia oraz rozdrobnienie gospodarstw.

*

Żelechlin wygląda mniej więcej tak: W środku wsi stoi masywny, górujący nad całą okolicą kościół; na przeciw kościoła plebania z wielkim, otoczonym solidnym murem ogrodem; obok duży, murowany dom parafialny; a dokoła nędza; niskie, po większej części zapadające się ze starości chałupy.

W domu parafialnym mieściła się kiedyś karczma. W marcu, gdy przyjechali członkowie ekipy, dom ten stał opuszczony i powoli zamieniał się w ruinę. Nie było już ani okien, ani drzwi, a dach przeciekał jak wielkie sito. Przewodniczący GRN, Stanisław Poński, ten dom właśnie upatrzył na pomieszczenie dla ośrodka zdrowia.

Remont domu parafialnego przeprowadzono przy pomocy miejscowego aktywu, który został zwerbowany „po linii partyjnej i Rady Narodowej". Spośród nich też później rekrutowali się pierwsi pacjenci. Powoli zaczęli przychodzić i inni, przede wszystkim kobiety z chorymi dziećmi.

*

W skład ekipy, której kierownictwo powierzono lekarzowi medycyny, aspirantowi Henrykowi Rafalskiemu, wchodzą lekarze medycyny, stomatologii, magistrowie farmacji, inżynierowie higieny sanitarnej i inni specjaliści oraz 30 słuchaczy wyższych lat studiów o zainteresowaniach naukowych. Jako konsultanci dojeżdżają profesorowie Akademii Medycznej.

Ekipa podzieliła się na kilka zespołów o rozmaitych zadaniach. Jeden z nich udziela doraźnej pomocy lekarskiej ludności gminy. Inne badaja warunki zdrowotne i komunalne, sposób i wartość odżywiania, studnie i wodę do picia, zabudowania gospodarcze i domy mieszkalne. Specjalny zespół pediatryczny bada wszystkie dzieci do lat 7. Chodzi tu o ustalenie wskaźników wzrostu i rozwoju dla dzieci wiejskich i o zbadanie przyczyn upośledzeń fizycznych. Masowe zdjęcia rentgenowskie płuc i serca oraz szczepienia tuberkulinowe obejmą całą młodzież do lat 20.

Pisał z doświadczeń swojej praktyki wiejskiej przed wojną w „Pamiętnikach lekarzy" dr Tadeusz Skorecki:

„...Lekarza wzywało się zawsze w parę godzin przed przyjazdem księdza, albo i po jego wyjeździe— więc zwyczajnie przed śmiercią.

Do kogo przywieziono lekarza, ten musiał umrzeć, takie było ogólne przekonanie na wsi... Epidemie wśród ludzi wiejskich, nieubezpieczonych, (a więc z braku pieniędzy na lekarza prywatnego — przyp. mój B. L.)... robią ogromne spustoszenia. Są wsie, gdzie brak w pewnych latach dzieci szkolnych, w pewnych rocznikach rekruta, co spowodowane zostało epidemiami".

Powszechne jest jeszcze w Żelechlinie leczenie ubytków w zębie kwasem solnym. Oczywista, że po kilku takich zabiegach ząb zostaje całkowicie zżarty. Usuwanie zębów — to specjalność miejscowego kowala, który po 5 zł. od sztuki, za pomocą narzędzi używanych do kucia koni... obłamuje korony pozostawiając korzenie. Pacjent ze zwykłym zapaleniem spojówek zgłosił się do ośrodka dopiero gdy zaniewidział. Jedna z matek, mimo kilkakrotnych perswazji, nie pozwoliła swemu dziecku usunąć „ognipióra", twierdząc, że dziecko od tego oślepnie lub ogłuchnie.

Już w kilka dni po przyjeździe ekipy nagle zaniemogła stara Kacprzykowa — matka małorolnego gospodarza w Żelechlinie. Synowa pobiegła po księdza proboszcza, bo wyglądało, że to już koniec. Syn się jeszcze zastanawiał, czy iść po lekarza. W końcu poszedł. Lekarz przybył wcześniej niż ksiądz. Stwierdził, że mimo pozorów, stan nie jest groźny. Jednostronny paraliż na skutek skurczu naczyń krwionośnych — wypadek nierzadki u osób starszych. Chora wstałaby za kilka dni nawet bez pomocy lekarskiej. Zastrzyk usunął niedomaganie w ciągu kilku godzin.



Starzy wieśniacy, po raz pierwszy w swoim życiu, spotykają się z tak troskliwą opieką lekarską

Kiedy nazajutrz dr Olszewski przyszedł sprawdzić, jak się czuje chora, w drzwiach minął się z księdzem proboszczem. Przy łóżku Kacprzykowej, przed świętym obrazkiem paliły się dwie świece, ale chora nie miała już zamiaru umierać.

— Cud niepojęty! — wołała unosząc się bez trudu z posłania. — Jakby ręką odjął...

Długo tłumaczył dr Olszewski zebranym domownikom i sąsiadom, że tu bez „cudów" się obeszło. I tak wątpliwe jest czy mu ktoś uwierzył? Za chwilę zmuszony był do następnego wykładu, gdyż syn chorej chciał mu zapłacić za wizytę 100 zł. Tym razem mówił o spójni miasta ze wsią, o społecznym powołaniu lekarzy i że służba zdrowia jest dziś opłacana przez Państwo.

Ten i kilka podobnych wypadków, jak wyleczenie ślepego, o którym już była mowa — sprawiły, że w kilka dni po przyjeździe zespół usługowy ekipy zaczął przyjmować po 80 pacjentów dziennie, podczas gdy przedtem zgłaszało się zaledwie po kilkunastu.

*

W pierwszą niedzielę po przyjeździe do Żelechlina, studenci wchodzący w skład ekipy urządzili wieczornicę taneczną, na którą zaprosili mieszkańców wsi. Program przewidywał godzinę tańców, a później pogadankę o zadaniach ekipy. Wieczornica się udała,

I odtąd co wieczór chłopi z Żelechlina odwiedzają ekipę; co wieczór przychodzi po kilkanaście albo i kilkadziesiąt osób. Prędko zrozumieli cel, dla którego prowadzone są te wszystkie badania. Jasne, że jak będzie wiadomo od czego człowiek choruje, to łatwiej można go przed tą chorobą ustrzec lub wyleczyć. Kiedy była mowa o tym, dlaczego umierają niemowlęta, a czasem i matki po porodzie, obecne przy tym kobiety przyprowadziły nazajutrz swoje sąsiadki i prosiły, żeby powtórzyć pogadankę na ten sam temat.

A kiedy podczas jednego z ostatnich wieczorów była mowa o tym, że ciasnota mieszkaniowa, ciemne i wilgotne izby sprzyjają szerzeniu się gruźlicy, a płytkie studnie grożą epidemią tyfusu, że nieracjonalne i często niedostateczne odżywianie dzieci, upośledza je w rozwoju fizycznym, padło znamienne pytanie:

— A w jaki sposób to zmienić, pobudować zdrowe chałupy, głębokie studnie, kiedy na to pieniędzy nie starcza?

Wtedy zaczęto rozważać i porównywać możliwości gospodarki indywidualnej i spółdzielni produkcyjnej.

Historia akademickiej ekipy nie jest bynajmniej skończona. W Warszawie, na światowym zjeździe studentów, delegaci ekipy opowiedzą przedstawicielom całego młodego świata o swoich osiągnięciach w walce o zdrowie pracującego chłopstwa, przedstawią plany dalszej pracy.

Bolesław Lesman

WOJCIECH ŻUKROWSKI

OBRACHUNKI WRZEŚNIOWE

JESIEŃ niezwykłej piękności, sucha i upalna. Warto przypomnieć sobie wydarzenia z ostatniego roku pozornej niepodległości, wydarzenia starannie wówczas ukrywane, przemilczane, zatarte.

W maju trzydziestego dziewiątego roku nadeszła zdradziecka instrukcja do Polskich Zakładów Lotniczych, by wstrzymać montaż maszyn bombardujących typu „Łoś" i „Karaś", gdyż nie można ich grupować na lotniskach polowych.

Zaczęliśmy więc wojnę obronną mając sześćdziesiąt maszyn bombardujących nowego typu. A Niemcy mieli ich tysiąc osiemset.

W czerwcu trzydziestego dziewiątego roku sprzedaliśmy Anglii i Szwecji nasze działa przeciwlotnicze. Broniły one Gibraltaru i Malty, ale brakło ich na drogach odwrotu, gdzie Messerschmidty rozpraszały całe kolumny i masakrowały ewakuowaną ludność.

Gdy po prowokacjach hitlerowskich, zajściach granicznych, skrytobójczych morderstwach dokonywanych na działaczach polskich w Niemczech, **28 sierpnia** ogłoszono mobilizację, musiano ją pod naciskiem rządów Anglii i Francji odwołać — „Nie należy drażnić Hitlera, trzeba być cierpliwym" — zalecali sprzymierzeńcy.

Straciliśmy trzy bezcenne dni; mobilizacja odbywała się pod bombami, gdy już na całej szerokości granica Polski została przełamana.

Straszliwe były skutki „samodzielnej polityki mocarstwowej". Każdy rok wasalstwa u Hitlera pozwalał na głębsze ściśnięcie Polski w faszystowskich obcęgach. Rząd sanacyjny przyklaskiwał rozbiorom. Byliśmy skłóceni ze wszystkimi sąsiadami, otaczała nas nienawiść. Dość wspomnieć Litwę, Czechy, Słowację; a sztab naszej armii chełpił się, że potrafi prowadzić wojnę na dwie strony: defensywną z Niemcami, ofensywną na Związek Radziecki. Dlatego budowano umocnienia na Wschodzie i trzymano w pogotowiu brygady kawalerii.

Już **pierwszego dnia** zostały zniszczone niemal wszystkie lotniska. Już **czwartego dnia** sztab generalny utracił zdolność dowodzenia operatywnego. **Szóstego dnia** została bezpośrednio zagrożona stolica.

Mimo zbrodniczego niedołęstwa wyższych dowódców, braku nowoczesnego sprzętu przeciwpancernego, czołgów i lotnictwa, żołnierz walczył zaciekle, z bezprzykładnym bohaterstwem. Mimo druzgocącej przewagi technicznej górując siłą ognia, oddziały hitlerowskie wspierane czołgami i samobieżnymi działami, ponosiły poważne straty. „Spacer przez Polskę", jak butnie kampanię wrześniową w swoich publikacjach nazywali Niemcy, kosztował ich wiele krwi.

Po klęsce nadeszła chwila obrachunku. Brakło broni, na którą od narodu sanacja wyłudzała ostatni grosz. Pokazało się jawnie, że zostaliśmy wydani wrogowi, okłamani, zdradzeni. Jednak klęska podziałała cucąco. Już naród nie dawał się uśpić, zakrzyczeć — zaczęliśmy czujnie patrzyć na ręce, które próbowały brudne interesy klasowe przysłonić skrwawionym sztandarem.

Gorzko, ale jakże trafnie w swojej powieści nazwał Putrament Polskę: „kraik na podpałkę". Tak, byliśmy przez obce, anonimowe potęgi kapitalistycznej zmowy skazani „na podpałkę". Zawadzaliśmy w Europie, staliśmy na drodze, chimeryczni, zmienni, nieodpowiedzialni, trzeba nas było „podporządkować" wielkiej, zaborczej polityce faszyzmu.

Pięć lat za drutami obozów uczono nas czujności i trzeźwości w planowaniu. Zachodni sprzymierzeńcy wyraźnie pokazali swoje oblicze; wystarczy wspomnieć: upadek burżuazyjnej Francji, która nam nie szczędziła słów pogardy, zagładę brygady spadochronowej pod Arnheim, zrzuconej przez Anglików prosto w kocioł, Monte Cassino — tragiczną Somosierrę, tysiące poległych dla zaspokojenia wodzowskich ambicji Andersa, wreszcie Warszawę, powstanie, które się stało klęską narodową i każdemu musiało oczy otworzyć.

Ci sami ludzie, co z cynizmem wydali nas wrogowi we wrześniu, gotowi są do każdej podłości, by znów rządy w swe ręce pochwycić. Ryją i wichrzą. Dlatego naród odgrodził się od nich, idzie własną drogą. Tępi każdy przejaw szkodnictwa i dywersji. Dlatego mamy Polską Rzeczpospolitą Ludową, a cały kraj przypomina wielki plac budowy. Nie ma u nas zakątka, gdzie by nie następowały rewolucyjne zmiany, gdzie by nie dokonywano trwałych przeobrażeń. Dokonaliśmy wyboru — budujemy socjalizm.

Oswobodziła nas Armia Czerwona. Ona obdzieliła nas szczodrze sprzętem bojowym. Dostaliśmy broń szybkostrzelną, sprawną, nowoczesną. Powstawały pułki, brygady artylerii, dywizjony lotnicze, armie. Wyzwoliciele nasi dzielili się z nami doświadczeniem frontowym, uczyli taktyki walki, pokazywali jak się rzuca na kolana zdradzieckiego wroga. Dostarczyli nam instruktorów, wychowali kadrę nowego Wojska Ludowego. Wraz z nami wbijali słupy graniczne w Odrę. Wspólnie zatykaliśmy sztandary na Łuku Brandenburskim w samym gnieździe faszyzmu.

Dziś nie jesteśmy samotni. Nie tylko otacza nas krąg przyjaznych narodów, ale i tam, na Zachodzie mamy setki milionów wypróbowanych przyjaciół, wraz z nami strzegących pokoju. Postępy rozbudowy, heroiczna praca i wyrzeczenia muszą budzić szacunek. Stajemy się w Europie poważną siłą gospodarczą, pomnażamy nasze możliwości produkcyjne. Z państwa rolniczego staliśmy się przemysłowo - rolniczym. Uporczywa, nużąca walka o normy, o wykonanie planów inwestycyjnych i wytwórczych raz po raz błyska triumfami. Odznaki przodowników, proporce i wiechy kwitnące na wiązaniach dachowych, całe dzielnice oddawane w dniu święta narodowego — pozwalają na dokonanie rzetelnego bilansu. Dziś wszystkie siły narodu użytkuje się dla jego dobra; każdy talent, każda iskra zdolności jest chroniona i rozdmuchiwana. Milionowe nakłady książek nareszcie naprawdę upowszechniły piękno naszej literatury. Dziedzictwo kulturalne stało się dostępne dla każdego.

Czternaście lat minęło od pamiętnego dnia, gdy zawalił się kłamliwy mit o sanacyjnym mocarstwie. Nie można budować domu dla narodu na krzywdzie i wyzysku, nie można kneblować ust najlepszym synom. Ci, którzy odtrącali wszystkie uczciwe dłonie od steru państwa, którzy na słowa protestu mieli „golędzinowiaków", policję do łamania kości i obóz w Berezie, ci najbardziej winni — uszli za granicę. Historia wymiotła ich jak śmieci. Dziś lud wznosi nowy, sprawiedliwy dom. I ponieważ zna cenę krwi, którą przyszło zapłacić za prawo do wolności, za spokojną budowę, za sen dzieci, za chleb i książkę na stole — będzie strzegł jak źrenicy wywalczonych swobód.

Szybciej od dźwięku tną niebiosa odrzutowce. Mruczą po bruku czołgi i ciężkie działa. Kroczy zasypana kwiatami piechota. Spojrzyj w te spalone od słońca twarze. Bystre oczy, szczere uśmiechy. Przyjrzyj się temu powitaniu oddziałów powracających z manewrów. Tłumy stojące na chodnikach i tych, stąpających w kolumnie łączy — miłość. Synowie chłopów i robotników, synowie budowniczych i twórców stali się tarczą w ręku narodu. Osłaniają to wszystko, co u nas powstaje i rośnie, cieszy i zachwyca. Stoją na straży Pokoju! Strzegą marszu w socjalistyczne jutro!

Wojciech Żukrowski

LUDOMIR RUBACH

W rocznicę wyzwolenia Bułgarii

WIELKA BITWA O WODĘ

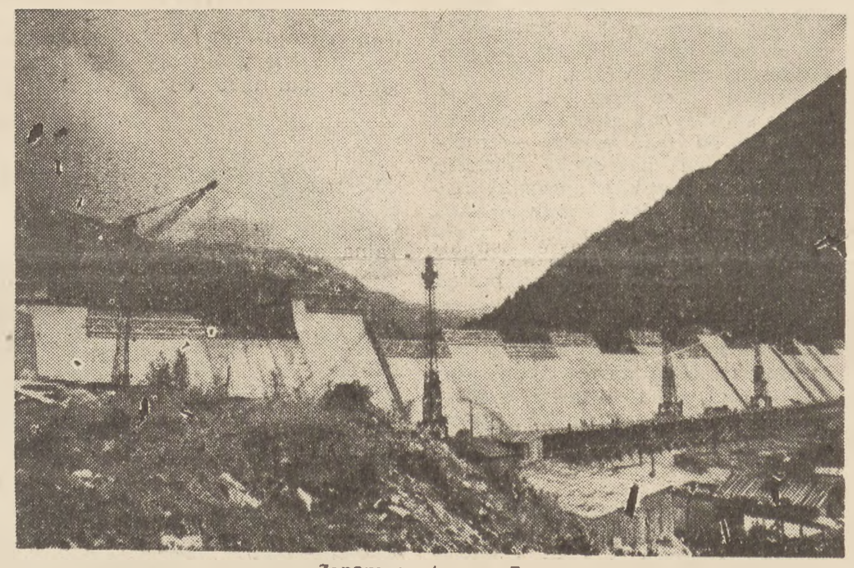
W spiekocie wrześniowego słońca dojrzewają rozległe winnice na zboczach wzgórz, otaczających prastary gród Płowdiw. Uprawa winogron od wieków stanowi sławę Bułgarii. Gdy spożywamy soczyste, wonne bułgarskie winogrona lub pijemy świetne bułgarskie wino, nie zdajemy sobie sprawy, ile trudu i mozołu kosztuje chłopów znad Maricy hodowla tego cennego krzewu. Największą trudnością, prawie zupełnie nieznaną naszym chłopom, jest w Bułgarii niedostatek wody. Rabunkowa gospodarka tureckich zaborców i kapitalistycznych wyzyskiwaczy ogołociła niemal doszczętnie góry bałkańskie z lasów. Spadł poziom wód w rzekach. Bułgarię zaczęły nawiedzać katastrofalne susze. Rządy burżuazyjne, bezradne wobec tej klęski, pozostawiały chłopów własnemu losowi.

Inaczej jest obecnie!

Dobrudża — północno - wschodnia część Bułgarii, była przed kilku laty niemal gołym, bezrolnym stepem. Jak okiem sięgnąć, nie można było dostrzec ani jednego drzewka. Po spalonej słońcem równinie hulał suchy wiatr, wzniecając tumany gorącego pyłu. A przecież jeszcze przed stu laty rosły tu lasy i szumiała pszenica, dzięki której obfitości Dobrudża otrzymała nazwę „złotego kraju". Chciwi obszarnicy i kułacy wyrąbali lasy i... Dobrudża w przeciągu kilkudziesięciu lat zamieniła się w pustynię.

Lecz nadszedł dzień wyzwolenia ludu bułgarskiego z jarzma obszarniczo - kułackiego. 9 września 1944 r. Armia Radziecka, wkraczając do Sofii, przyniosła Bułgarii wolność i pokój. Utworzona władza ludowa przystąpiła do likwidacji wiekowego zacofania kraju. Rozpoczęła też bitwę o wodę. 14 kwietnia 1951 roku radio sofijskie ogłosiło plan przeistoczenia Dobrudży ponownie w spichlerz Bułgarii.

Przed kilku dniami otrzymałem list od jednego z moich bułgarskich przyjaciół, który pokazywał mi swą ojczyznę, gdy zwiedzałem ją w 1947 roku. Pisze on: „Nie poznałbyś Dobrudży! Szerokie pasma młodych sadzonek zielenieją już nad błękitnymi smugami kanałów irygacyjnych. Zasadzimy wkrótce około tysiąca km pasów leśnych, które będą chronić Dobrudżę od wyniszczającego oddechu gorących wiatrów. Pasy leśne sadzi w Dobrudży dosłownie cały naród bułgarski, a przede wszystkim młodzież, która ofiarnie pracuje nad realizacją wielkich zadań naszego planu 5-letniego. Naród nasz wie, że jego dobrobyt w niemałym stopniu zależy od dostatecznego nawodnienia naszych pól. Dzięki wodzie spółdzielnie produkcyjne i państwowe gospodarstwa rolne będą mogły odzyskiwać nowe tysiące hektarów ziemi ornej. W ostatnich dwóch latach 80 procent gospodarstw dziesiątków tysięcy chłopów osiadłych niedawno w Dobrudży zostało zmechanizowanych. Dokoła nowopowstałych wsi rosną już ogrody i sady. W 1956 roku we wszystkich wsiach Dobrudży będzie już czysta, źródlana woda. Step zmienia się w złotą krainę dobrobytu.



Zapora wodna — Rosica

*

Gdy podróżny, zwiedzający Bułgarię, stanie na przełęczy Rodopów, minąwszy najwyższe wzniesienie tych dzikich gór bałkańskich, jego oczom ukaże się niezwykły widok: wśród sosnowych i świerkowych lasów marszczą się fale rozległego jeziora, położonego na wysokości 1582 metrów nad poziomem morza. Majestatycznie wyrasta ponad jego taflą ściana zapory „Wasyl Kolarow" — pierwszej zapory zbudowanej w Bułgarii ludowej. Sztuczne jezioro w górach ma szerokość od 300 do 500 m, długość kilku kilometrów! Nad jego brzegiem urządzono wczasowiska dla ludzi pracy.

*

Górska rzeka Rosica bierze początek na północnych zboczach Gór Bałkańskich i spływa z nich w dolinę rzeki Jantry — dopływu Dunaju. Jesienią ubiegłego roku potężna zapora zagrodziła drogę tej górskiej rzece, na skutek czego powstało jezioro długości 18 i szerokości 2 kilometrów. Z jeziora wychodzi długi, podziemny kanał, którym spływa woda zraszająca pola rozległej doliny.

Bohaterska, ofiarna praca ludu bułgarskiego rodzi wciąż nowe budowle socjalizmu. Jedną z najwspanialszych budowli jest zbiornik wodny im. J. Stalina. Będzie on największym zbiornikiem wodnym na całym Półwyspie Bałkańskim.

Zapora, wysokości 76 i długości 221 metrów, już wyrosła w poprzek koryta i doliny rzeki Iskier, dzięki czemu powstaje jezioro długości 13 km, a szerokości 6 km. Jezioro gromadzić będzie ponad 670 milionów metrów sześciennych wody, która spływając kilku tunelami uruchomi stacje hydroelektryczne; „Pasarel", „Kakaliane", „Sofia" i kilka innych. Cały ten potężny hydrowęzeł ma być oddany do użytku w 1955 roku.

*

Dopiero teraz, gdy naród bułgarski jest gospodarzem swego kraju, może on prowadzić wielką wojnę przeciw posusze. Walka o wodę połączona jest z walką o światło i energię elektryczną.

Walka ludu bułgarskiego, jest więc walką o wodę i światło, o dobrobyt i kulturę. W walce tej naród bułgarski odnosi co dzień nowe zwycięstwa.

Ludomir Rubach

TOMASZ ATKINS

Tydzień w świecie

Demagogia czy dolary?

Dziś odbywają się wybory do parlamentu Niemiec zachodnich. Reakcyjna prasa krajów zachodnich nazywa je „wolnymi wyborami". Ale jak w rzeczywistości wyglądają te „wolne" wybory?

Wolność w zachodnich Niemczech zagwarantowana jest tylko dla tych partii, których programy pozostają w zasadniczej zgodzie z amerykańskimi planami przekształcenia tej części Niemiec w bazę wypadową do nowej wojny w Europie. Z wolności bez ograniczeń korzysta więc rządząca partia chadecka, której program wojny i odwetu jest tak dobrze znany. Wolno, swobodnie uprawiać propagandę wyborczą socjaldemokratycznej „opozycji", która oskarża Adenauera o jeszcze zbyt powolne tempo odbudowy neohitlerowskiego Wehrmachtu. Wolno też bez przeszkód działać jawnie faszystowskim organizacjom, kierowanym przez byłych przywódców SS i partii nazistowskiej. Wolno również kandydować do parlamentu generałom — zbrodniarzom wojennym.

Nie ma natomiast wolności dla tych Niemców, którzy występują za pokojem, przeciwko programowi wojny i odwetu. Nie ma jej dla Komunistycznej Partii Niemiec zachodnich — czołowej siły klasy robotniczej. Nie ma jej dla patriotów niemieckich, zjednoczonych w Zgromadzeniu Narodowym, którzy wiedząc, że militaryzm dwukrotnie doprowadził już ich naród do straszliwych klęsk i katastrof, pragną uniknąć samozagłady Niemiec na drodze nowej wojennej awantury. Okrutny terror rozpętała przeciwko nim klika Adenauera. Mnożą się aresztowania komunistów. Faszystowskie bojówki rozpędzają wiece opozycyjne. W wielu okręgach administracyjnymi szykanami uniemożliwiono wystawienie kandydatur Partii Komunistycznej i Zgromadzenia Narodowego.

Jaki w tych warunkach będzie wynik wyborów? Trudno przewidzieć, czy zwyciężą dolary, którymi tak obficie zasilają kasę Adenauera rząd waszyngtoński i przemysłowcy Zagłębia Ruhry, czy też zwycięży demagogia socjaldemokratów, którzy w ostatniej chwili, uwzględniając nastroje ludności, opowiedzieli się za konferencją wielkiej czwórki. Ale każdego Polaka musi zastanowić fakt, że w zgiełku kampanii przedwyborczej jeszcze wyraźniej niż dotąd wyszło na jaw antypolskie ostrze dążeń rewizjonistycznych, całą mocą popieranych przez Stany Zjednoczone.

Ten fakt raz jeszcze podkreśla naglącą konieczność takiego rozwiązania sprawy Niemiec, aby raz na zawsze przekreślić możliwość rozpętania przez Niemcy nowej wojny w Europie. A więc takiego rozwiązania, które by zjednoczyło naród niemiecki w jedno pokojowe państwo, oparte na demokratycznych zasadach, w którym nie będzie miejsca dla organizacji faszystowskich, militarystycznych i odwetowych. Takiego rozwiązania, które zastąpiłoby separatystyczne wybory w Niemczech zachodnich rzeczywiście wolnymi wyborami ogólnoniemieckimi, w których cały naród niemiecki mógłby swobodnie zadecydować o swoim losie.

W takim rozwiązaniu kwestii niemieckiej, zaproponowanym przez Związek Radziecki, naród polski jest żywotnie zainteresowany.

Targi w ONZ

Ciężki orzech miała do zgryzienia w ONZ delegacja amerykańska. Opinia publiczna całego świata — a pod jej naciskiem także i większość delegacji w ONZ — była przeciwna amerykańskim planom przekształcenia przyszłej konferencji politycznej w sprawie pokojowego uregulowania problemu koreańskiego w konferencję dwóch wrogich stron. Dyplomaci USA musieli zatem tym razem uciec się do takiego mnóstwa gróźb i szantażu, jakiego ONZ dotychczas nie widziała, aby w końcu przeforsować amerykańską rezolucję.

W jaki sposób działał amerykański mechanizm nacisku, widać było najlepiej w debacie nad zagadnieniem, czy Indie powinny brać udział w konferencji politycznej. Za udziałem Indii wypowiedziała się większość delegacji. Stany Zjednoczone znalazły się niemal całkowicie odosobnione. Wówczas USA uderzyły w czuły punkt rządu francuskiego. Kraje arabskie wniosły do Rady Bezpieczeństwa ONZ skargę przeciwko Francji za przeprowadzenie zamachu stanu w Maroku. Francji zależało na tym, aby sprawy Maroka nie rozpatrywano w ONZ. Targ w targ i Stany Zjednoczone w zamian za wstrzymanie się Francji od głosu w sprawie Indii, głosowały za wnioskiem francuskim w sprawie Maroka.

W rezultacie przy pomocy takich i innych machinacji delegacji amerykańskiej udało się wreszcie stworzyć taką atmosferę w ONZ, że Indie same wycofują swoją kandydaturę. Tak więc można by pomyśleć, że Stany Zjednoczone odniosły zwycięstwo, ale nawet reakcyjna prasa amerykańska, jak np. „Washington Post" pisze, że zwycięstwo to było „nie bardzo korzystne". „Jeszcze jedno takie zwycięstwo — pisze gazeta — a będziemy całkowicie zniszczeni".

W tym bowiem tkwi sedno rzeczy, że awanturnicze, dyktatorskie poczynania Stanów Zjednoczonych coraz bardziej pogłębiają rosnącą izolację tego państwa na arenie międzynarodowej. Bo podobnie jak kułak na wsi potrafi do czasu wymusić posłuszeństwo słabszych gospodarzy — podobnie i Stany Zjednoczone potrafią do czasu wymusić posłuszeństwo swych słabszych partnerów. Ale każde wymuszenie potęguje tylko opór i nienawiść przeciw monopolistycznym kułakom z Wall Street.

Komu Watykan błogosławi?

Jednocześnie w ubiegłym tygodniu ogłoszono o podpisaniu konkordatu między Watykanem i faszystowskim reżimem Franco oraz o zakończeniu rozmów między Stanami Zjednoczonymi i Hiszpanią frankistowską w sprawie zawarcia paktu wojskowego.

Znamienne to wydarzenie z wielu względów. Reżim frankistowski, znienawidzony przez naród hiszpański, napiętnowany został przez cały świat. Po dziś dzień Hiszpania frankistowska nie jest członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych, bo nawet burżuazyjne rządy, pod naciskiem opinii swoich narodów, nie odważyły się zasiąść przy wspólnym stole z katem i oprawcą narodu hiszpańskiego.

A teraz Stany Zjednoczone wyciągają rękę do tego ostatniego spośród faszystowskiej trójki Hitler — Mussolini — Franco. Watykan zaś błogosławi temu związkowi.

Czyż trzeba wyraźniejszego dowodu, jak dalece Stany Zjednoczone są osamotnione w Europie, jak niepewnie się czują na europejskim gruncie, skoro szukają oparcia w wojskowym sojuszu z Franco? Czyż trzeba wyraźniejszego dowodu, jak dalece Watykan utożsamił się z najbardziej ciemnymi siłami reakcji, skoro zawiera konkordat z reżimem, który jest symbolem terroru i bezprawia?

I czyżby trzeba wyraźniejszego dowodu, że Watykan przeszedł całkowicie i bez reszty na służbę imperializmu amerykańskiego? W 1933 r., natychmiast po dojściu Hitlera do władzy, Watykan podpisał z nim konkordat, by dobrze sprezentować go światu. Dziś Watykan na życzenie imperialistów amerykańskich czyni to samo z chwiejącym się reżimem frankistowskim.

Po prostu — pierwszy drużba na wszystkich faszystowskich weselach.

Tomasz Atkins

NAVTEY

WSPANIAŁA TĘCZA LUDZKOŚCI

Wśród honorowych gości Festiwalu Młodzieży w Bukareszcie znalazł się Navtey, człowiek w śnieżnobiałym turbanie o żywych dobrych oczach promieniejących osobliwym blaskiem. Na jego piersi zawisł pewnego dnia złoty medal — nagroda w konkursie literackim Festiwalu. Brodaty Hindus — Navtey — otrzymał ją za nowelkę „Wrak bez steru".

Zachwycony Festiwalem, Navtey skreślił w Bukareszcie na żywo swoje wrażenia, które zamieszczamy poniżej.

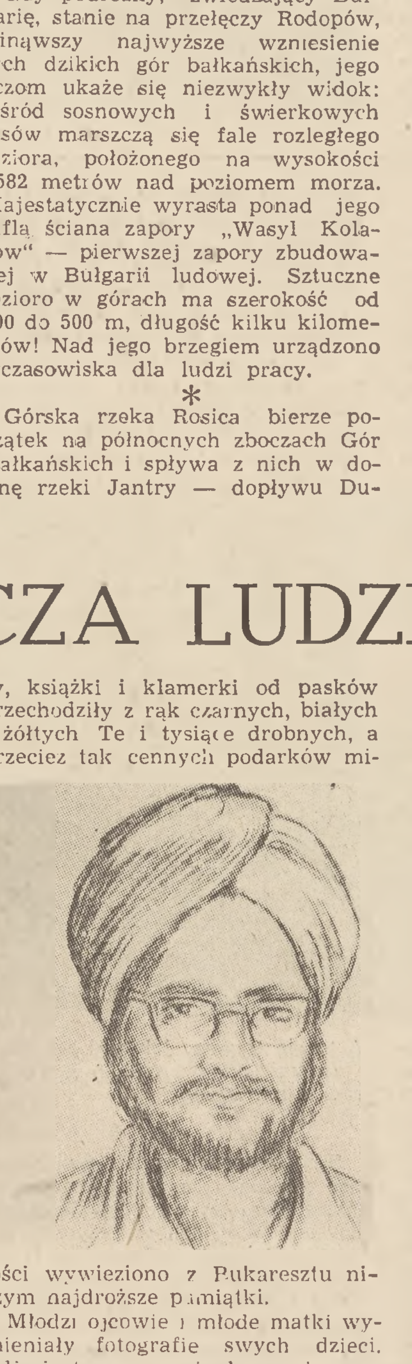
REDAKCJA

W Bukareszcie ujrzałem świetlaną tęczę ludzkości. Tworzyły ją rozliczne i barwne stroje, słowa wielu języków wypowiadające rozmaite poglądy o życiu i świecie, bukiety kolorowych flag — zlewające się w jedną całość. Tę wspaniałą tęczę ujrzałem nie na niedosiężnym niebie. Istniała ona jak najbardziej prawdziwie na naszej starej, poczciwej ziemi. Czułem ją, chwytałem w ręce, byłem jej częścią. Żyłem nią: tęczą, która jest symbolem naszej nadziei.

Tu, w Bukareszcie śpiew i kwiaty stały się nową mową, która przerwała granicę mowy słów. Język kwiatów wyrażał wszystko. — I każdy pragnie aby dłonie, które te kwiaty wręczały, przenigdy nie zaznały krzywdy i cierpienia. Każdy czuje, że nie może tu braknąć żadnego kraju, że każdy naród wnosi w świat swoje dary.

Rzadko kiedy zdarza się widzieć miasto o powiewającej obok siebie tak wielkiej ilości flag krajów obcych i odległych od siebie. W niezapomniane dni Festiwalu sztandary te spływały z nieba, umieszczone na samolotach. Setki, tysiące tancerek kołysało się rytmicznie w ich cieniu. Tańczyły razem wszystkie serca, tańczyły załzawione wzruszeniem oczy. Łzy te, jedyne w swoim rodzaju, nie zaciemniały promiennej przyszłości.

W Bukareszcie wirowały pomiędzy dłońmi zeszyty z autografami. Tu każdy mówił: „Napisz mi — proszę — nazwę twojej Ojczyzny". Chustki i znaczki, fotografie i adresy, książki i klamerki od pasków przechodziły z rąk czarnych, białych i żółtych. Te i tysiące drobnych, a przecież tak cennych podarków miłości wywieziono z Bukaresztu niczym najdroższe pamiątki.



Młodzi ojcowie i młode matki wymieniały fotografie swych dzieci. Zdjęcia te przypominały raz jeszcze, że w każdym kraju są takie same dzieci, podobne do naszych własnych i równie mocno kochane — a potrzebujące pokoju nie mniej niż codziennego mleka.

Często słyszało się o królewskich przyjęciach — jakież to szczęście być gościem serc rumuńskich! Oddaleni tysiącami mil od ojczyzny, czuliśmy się w Bukareszcie wszyscy jak we własnym kraju. Sprawiła to pełna miłości opieka narodu rumuńskiego.

11 sierpnia przeżyliśmy w Bukareszcie noc, która nie ma równych pośród innych nocy. Karnawał młodości w Parku Stalina! Wokół pomnika wielkiego wodza ludzkości kłębiła się rozradowana młodzież — a Stalin spoglądał z cokołu jak kochający ojciec.

Miliony kropel tryskających z wodotrysków iskrzyły się w blaskach świateł tysiącami barw. Reflektory rozświetlały jedne zakątki i alejki, w innych znów ustroniach jaśniały jedynie pełne przyjaźni oczy. Z przerozmaitych miejsc, z małej wysepki zagubionej w głębokiej toni jeziora strzelały snopy promieni reflektorów. Świetlne smugi cięły niebo, chwytały się, goniły, okrążały nawzajem. Ten wspaniały, barwny fajerwerk zachwycał wszystkich. Tłumy radosnych chłopców i dziewcząt bawiły się, szumiały rozmowami, obrzucały wszystkich i wszystko konfetti, papierowymi wężami.

Tej nocy miałem niezapomnianą przygodę. Spacerowałem z polską przyjaciółką. Chcieliśmy rozmawiać, ale oboje nie znaliśmy wspólnie ani jednego języka.

Poznałem ją dwa dni przed karnawałem. Siedziała za mną. Śpiewaliśmy pieśni — i słyszałem jej rozedrgany radością głos. Przypominał on lekki powiew wiosennego wiatru. Chwytał za serce.

Dziewczyna znała mnie z fotografii, która ukazała się razem z moją nowelką w festiwalowej gazecie. Wyciągnęła przekład tej noweli i prosiła o autograf...

W dzień karnawału przypadek — taki, który zdarza się tylko w bajce — i na Festiwalu — splótł znowu nasze kroki. Spotkaliśmy się wśród tysięcznych tłumów. Mówiliśmy w odmiennych językach. Rozumieliśmy się bez słów. Śpiewała mi swym świeżym głosem piosenki swojej polskiej ojczyzny.

Moja polska przyjaciółko! Twój uśmiech i Twoje piosenki będą przy mnie zawsze!

Tu, w Bukareszcie, rozbrzmiewają we wszystkich językach — jak uroczyste przysięgi — słowa: Pokój, Przyjaźń. Każdy z nas uczył się tych słów w wielu językach. Nie robiliśmy tego jednak dla poznania samych słów. Dziekan Canterbury powiedział: „Z Bukaresztu jest 30 tysięcy okien do 111 krajów.. Przez te okna zobaczy świat, że pokój jest osiągalny, że może istnieć przyjaźń, że dobrobyt wszystkich jest możliwy".

My, młodzież przybyła na Festiwal, ślubujemy: będziemy czuwać, będziemy te okna otwierać jak najszerzej, a szyby ich utrzymywać jak najczyściej. Gdy znowu spotkamy się na Festiwalu — archipelagi gniazd przyjaźni naszych krajów uwite będą na kwitnących gałęziach wszystkich krajów.

Tłumaczył **Leszek Moczulski**

PIOTR PIGWA

Nauka zdobywa gromady

Stanisława Mikołajewska, nauczycielka, opisała w liście do naszej redakcji wypadki, jakie tego roku rozegrały się na terenie gminy Brzeźno, pow. Sieradz.

Dzieci szkolne z najstarszych klas zapytały katechetę, skąd się wzięła na ziemi pierwsza materia i w jaki sposób została wprawiona w ruch? Oczywiście usłyszały odpowiedź zupełnie odmienną, jaką usłyszały od nauczyciela przedmiotu — Nauka o Konstytucji.

Wewnętrzna sprawa szkoły? Gdyby nawet tak było — dualizm w wychowaniu młodzieży — sprowadzi ją w końcu na rozdroża. A przede wszystkim to nie wewnętrzna sprawa szkoły. Kiedy bowiem dzieci wybierały się na wycieczkę do powiatowego Sieradza, by zobaczyć jego socjalistyczną przebudowę, napotkały gwałtowny opór ze strony pewnej części rodziców. Tuż przed odjazdem matki odbierały dzieciom tornistry, wyrzucały kwiaty, przeznaczone dla robotników budujących wielki szpital w powiatowym mieście, popychały siłą w stronę kościoła...

Łańcuch wydarzeń, jakie przedstawiła nam Mikołajewska, jest znacznie dłuższy. Zaczepił ją katecheta po drodze. Było to po burzliwym zebraniu, na którym wybrano nowy zarząd GS. Czujna nauczycielka udaremniła próby przeforsowania listy, na której figurowali kułacy i najbardziej zacofani ich poplecznicy, lub aktywiści w rodzaju prezesa ZSCh, który radził naszej nauczycielce, by się mniej zajmowała „propagowaniem małpiego pochodzenia człowieka". Ostatecznie do zarządu weszli postępowi chłopi, w części otwarci zwolennicy gospodarki spółdzielczej.

A więc ksiądz radził nauczycielce, żeby się z walką o spółdzielnię produkcyjną nie spieszyła — na wszystko przyjdzie czas. Tymczasem w gromadzie dojrzała już sprawa Komitetu Założycielskiego.

Mikołajewska wiąże w jasny obraz poszczególne ogniwa wydarzeń, pozornie ze sobą niezwiązanych. Powiada mianowicie, że wróg klasowy, wypierany coraz energiczniej z aparatu gospodarczego, demaskowany w GRN-ach i GOM-ach, zmuszany do udzielania pomocy sąsiedzkiej bez wyzysku, piętnowany przez gromadę, kiedy uchyla się od wykonania obowiązków wobec państwa — skupił swoje wysiłki na odcinku walki o światopogląd.

Dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że na gruncie wyobrażeń o budowie wszechświata, stosunków społecznych pomiędzy ludźmi, łatwo jeszcze mącić w głowach.

Ale każdy medal ma dwie strony. I właśnie ta druga strona niepokoi wroga. Na wieś — jeżeli można tak ogólnie postawić sprawę — trafia wspaniała, socjalistyczna technika. W Sieradzkiem huczą nie tylko traktory na polach; pojawiły się tam już i kombajny. Do gminy Brzeźno zjechał na stałe POM. Ożywił się ruch miczurinowski, rozwinęły się poważnie uprawy roślin leczniczych, zwłaszcza mięty. Osiągnięcia wysoko zorganizowanej techniki i nauki — najwyraźniejsze znaki wyzwalania się człowieka spod wpływu przesądu, zabobonu; porywające przykłady uwalniania chłopa od ciężkiej pracy, zmuszają do rewizji dotychczasowego poglądu na świat. I to jest właśnie charakterystyczna cecha bieżącego etapu rozwoju świadomości społecznej mało- i średniorolnych. Wróg o tym wie i dlatego głosi wsteczne, antynaukowe idee o rzekomej bezradności wobec słabej gleby, niepomyślnej pogody, składa sprawę wydajności z hektara w ręce opatrzności, redukuje do minimum rolę nauki i socjalistycznej techniki. I — trzeba sobie z tego zdać sprawę: wróg osiąga tu i ówdzie sukcesy, ale zasadniczego rozwoju świadomości mas chłopskich zahamować nie może.

Kiedy prelegent TWP wygłosił odczyt w zapadłej wsi — Budy Zaklasztorne (pow. Skierniewice) pt. „Nauka zwalcza przesądy", zasypano go pytaniami o strachy, strzygi, czarownice, rozmaitego rodzaju duchy. Ktoś ze słuchaczy spytał także, skąd biorą się pioruny: czy aby nie jest to resort działalności niebios. Wtedy małorolny Sęk zauważył piorunochron na kościele. Od tej pory — po gruntownej dyskusji — prawie wszyscy w Budach umieją sobie NAUKOWO WYTŁUMACZYĆ wyładowania elektryczne.

Chodzi wszakże o co innego. O to mianowicie, że chłopi, w których ubogie niegdyś życie wdarł się traktor, elektryczność, radio, którym odjęta została troska o wykształcenie dzieci, a osiągnięcia sąsiadów - miczurinowców znoszą przestarzałą rutynę gospodarczą — szukają naukowych uogólnień, porządkujących w jasny i jednolity sposób OGROM PRZEMIAN.

Komitet Rodzicielski z Woli Makowskiej pod Skierniewicami uchwalił specjalne premie dla dzieci szkolnych, roznoszących kartki z zawiadomieniami o odczycie na tematy światopoglądowe. Sala jest zawsze pełna, a życie Woli Makowskiej i okolicy ożywiło się dyskusjami na temat pochodzenia życia na ziemi. Nie brak pośród starszych chłopów takich zacietrzewieńców, którzy wszystko przeczytali o białkowej teorii powstawania żywej materii. Jest to doprawdy rewolucja w świadomości chłopskiej! Znany miczurinowiec z Makowa — Supera, wygłosił koreferat do odczytu jednego z profesorów Wyższej Uczelni. Supera mówił na temat przeobrażenia przyrody przez człowieka. Słynne buraki, wielkie jak ludzka głowa, wynik pracy miczurinowca z Makowa, stanowiły materiał ilustrujący koreferat.

Dyskusje zbliżyły Wolę Makowską i okolicę do socjalizmu, co nie oznacza, że proces wypierania ze świadomości starych nawyków został już zakończony. Z drugiej jednak strony—owi specjaliści „od białka", to znów pierwsi znawcy stosunków społecznych kapitalizmu — są na gruncie praktyki czołowymi aktywistami. Rozniecają ruch miczurinowski, wzmagają tempo dostaw dla państwa, a przede wszystkim umieją swoje stanowisko poprzeć naukowymi, nieodpartymi argumentami.

Przed nami długie jesienne i zimowe wieczory. Trzeba troskliwie, jak nigdy dotąd, zadbać o to, by budzący się na wsi RUCH UMYSŁOWY rozszerzyć akcją odczytów światopoglądowych i dyskusji. Jest po temu czas szczególnie korzystny, gdyż tocząca się nieprzerwanie rewolucja kulturalna doprowadziła chłopów w 4 roku Planu 6-letniego na taki etap świadomości, że można już i trzeba odpowiadać wszędzie na pytanie: — Skąd się wzięła pierwsza materia na ziemi i w jaki sposób została wprawiona w ruch?

Tego rodzaju akcja sama z kolei wprawi w ruch tysiące nowych aktywistów.

Piotr Pigwa





ANNA HUK

OBALANIE PRZESĄDÓW

Jest w naszej pracy nauczycielskiej, prowadzonej nieraz w zacofanych gminach dziedzina niesłusznie, moim zdaniem, pomijana lub co najmniej niedostatecznie omawiana w prasie. Chodzi mi o pracę nad ugruntowaniem w masach chłopskich naukowego poglądu na świat.

Walka o materialistyczny, marksistowski światopogląd winna być szeroko prowadzona wśród naszego aktywu kulturalnego. Stosuje się tu bowiem swoiste metody. Walka prowadzona jest najczęściej w formie zwykłej rozmowy przy drodze, często w czasie domowej pogawędki, kiedy ludzie powrócą z pól i radzi by o czymś nowym posłyszeć. A sprawy, wokół których się ta walka obraca, związane są z codziennym życiem, powszednim dniem pracy.

Garść uwag i spostrzeżeń ze swojej pracy na tym odcinku chciałabym w pierwszym rzędzie skierować pod adresem innych kolegów-nauczycieli i aktywistów kulturalno-oświatowych. Niechże ze swej strony dorzucą, poprzez „Wieś", swoje spostrzeżenia.

Pracuję we wsi Zbytowa, powiatu oleśnickiego. Gromada jest — że tak powiem — kielecko-wieluńska. Z tamtych bowiem stron ściągnęła tu po wojnie najskrajniejsza biedota, często bardzo zacofana, pełna dziwacznych przesądów, od których włosy stawały na głowie. Ale — co znacznie od tego gorsze — zacofany pogląd na świat utrudnia chłopom zbytowskim normalny rozwój produkcji rolnej, wprowadzał zamieszanie w życie rodzinne, przeszkadzał w racjonalnym wychowaniu dzieci, słowem utrudniał postęp. A trzeba wiedzieć, że Zbytowa, to wieś biedna, przeważa tam zdecydowanie ziemia V i VI klasy, gospodarstwa mało-biedniacko-średniackie. Tylko racjonalna hodowla bydła i drobiu mogłaby podnieść zamożność gromady.

Tymczasem...

Jeszcze przed kilku laty zastarzałe przesądy hamowały normalną wymianę handlową, np. — sprzedaż masła. Co najmniej połowa gromady była święcie przekonana, że po zachodzie słońca za żadne skarby nie należy sprzedawać ani mleka, ani masła, gdyż „zły" odbierze krowom mleko. Niby drobiazg, a w gruncie rzeczy jeszcze nie tak dawno cierpiały na tym dostawy mleka i masła do mleczarni i — co ważniejsze — przesąd odwracał uwagę gospodyń od stanu zdrowotnego krów, których mleczność była bardzo niska.

Szczęściem mam własną krowę. W obecności sąsiadek doiłam ją o zmierzchu, robiłam masło, próbowałam wymieniać mleko, na jajka. Skutek był nadzwyczajny! Udało mi się przekonać kilka gospodyń, że o wydajności krowy nie rozstrzyga pora dnia, ale sposób jej pielęgnacji. Wieczorami odbywaliśmy w stajni rodzaj kursów dawania karmy krowom. Mówiłam o sposobach zwalczania powszechnie znanych chorób wśród tych zwierząt. I tak powstał mój aktyw kobiecy. Za krowami poszły kury, które także ponoć traciły nośność, kiedy się je wieczorami karmiło...

W czasie jednego z takich posiedzeń wybuchło zgoła nieoczekiwane zamieszanie. Wylałam wodę po moim synku, który mył się przed snem. We wsiach Kielecczyzny można było nieraz usłyszeć „dowodzenia", że dziecko traci sen, apetyt, chudnie gwałtownie i umiera, jeżeli nie zachować po nim wody do rana. I rzeczywiście, prawie wszyscy kielczanie zostawiali na noc miednice i cebrzyki pełne brudnej wody. Niebagatelna wcale rzecz. Jeżeli np. chłop miał 6 dzieci — wszystkie mył w tej samej wodzie, co oczywiście bardzo ujemnie odbijało się na zdrowiu najmłodszych obywateli gromady. Ten przesąd miał swój wieluński wariant. Nie wolno myć dziecku ani głowy, ani uszu do roku, inaczej umrze i tyle. Mój prosty jak świeca i zdrowy niczym rydz syn posłużył za materiał dowodowy w pogadankach. Co zaś się tyczy niemowlęcia — nie miałam go w domu, ale zgodziła się jedna z sąsiadek poddać zabiegom racjonalnej higieny swoje. Dziecko okazało się zdrowsze niż jakiekolwiek inne.

Jakoś dwa lata temu przybiegł do do mnie wyraźnie przestraszony woźny naszej szkoły, ob. Stelmach z krzykiem:

— Niech pani kierowniczka wyćpie tę żabę, bo to czarownica!

Chodziło o to, że małorolna Józefa Mikołajczyk sprzedawała — jak na wyliczenia zbytowian za dużo mleka i masła. Nic tylko nocą zamienia się w żabę i odbiera innym krowom mleko! Miał się nawet odbyć sąd gromadzki nad nieszczęśliwą. Udało mi się jednak wytłumaczyć ludziom, że Mikołajczykowa pierwsza zrozumiała, iż przyszłość gromady leży w racjonalnej hodowli i po prostu dba o krowę, jak nikt. Od tego momentu zainteresowanie dla racjonalnej hodowli krów znacznie wzrosło. Chłopi rzucili się do książek jakby zawstydzeni, że głupi, niedorzeczny zabobon przesłonił im możliwość rozwinięcia gospodarek.

Najdłużej trzymała się żaby ob. Anna Piszczałkowa, ale już w nieco innej formie. Leczyła zapalenie gruczołów piersiowych w ten sposób, że kładła sobie żabę pod pachę. Uwierzyła w końcu w zbawienną siłę zastrzyków, jakie orzymała w szpitalu.



Przesąd nie tylko hamował gospodarczy rozwój Zbytowej, nie tylko uniemożliwiał stosowanie postępu w rolnictwie i hodowli: utrudniał również życie rodzinne, spychał kobietę do roli służącej, zakłócał stosunki małżeńskie. Wanda Włodarczyk, średniaczka, nie przeczytała do niedawna ani jednej książki, wiecznie zaharowana, zagoniona. I nigdy nie mogła powiedzieć spokojnie: „Obrobiłam się, mam spokój". Jeżeli dzieci były czyste, to mężowi brakowało guzików, albo nie starczyło jej czasu na wyprasowanie spodni.

Podobnie rzecz się miała z małorolnym Stanisławem Baryłko, chłopem, który — jak to się mówi — poza własną parafię nosa nie wystawił dłubiąc nieustannie w lichej ziemi, która znała wodę święconą, ale z nawozami sztucznymi była do niedawna na bakier.

Na gruncie naszych wieczornych pogawędek o racjonalnym hodowaniu cieląt i kur, pielęgnowaniu i wychowywaniu dzieci rozwinęło się bujnie czytelnictwo, chłopi jęli się rozglądać uważnie po kraju, wreszcie powstał komitet założycielski, wkrótce potem i spółdzielnia. Wanda Włodarczyk — to młoda 28-letnia kobieta. Jest dziś brygadzistką w kolektywie, wyróżnia się w czytaniu. Męża pociągnęła za sobą. A w spółdzielni spotkali się z Baryłką. Ten nauczył się pisać i czytać dopiero w 1949 roku, ale lata zacofania odrabia niezwykle szybko.

Uczyniłam znaczny skrót. Chciałabym podkreślić, że kiedy powstawała spółdzielnia produkcyjna, miałam już znane w okolicy Koło Gospodyń, które znakomicie rozwinęło hodowlę kur i cieląt. W walce z ciemnotą i obskurantyzmem wyrósł cenny społeczny aktyw, składający się przeważnie, choć nie jedynie — z kobiet. Aktyw ten działa w całej gminie.

On to jest najwymowniejszym dowodem rewolucji w chłopskim poglądzie na świat.

Dziś nie do rzadkości należą dyskusje wybiegające daleko poza problem zimnego wychowu cieląt. Chłopi sprzeczają się zawzięcie na temat materialności świata, na temat pochodzenia życia i co najważniejsze — czytają coraz więcej prac z literatury popularno-naukowej.

Anna Huk

WOJCIECH BAJEROWICZ

PRZEŁOMOWY CZAS

Obraz może nie jest nawet brzydki ale w mieszkaniu ludowego nauczyciela stanowczo zaskakuje.

Wyobraźcie sobie gorące słońce Ukrainy. W porywającym galopie pędzi po jasnej przestrzeni stepu ułańska defilada. Orkiestra właśnie ostro skręciła, by przepuścić panów - rycerzy. Konie wymuskane—zapewne przez chłopów, pokazanych w obrazie na trzecim planie, rozdziawiających w niemym podziwie gęby. Jakiś tęgi szlachetka stoi dumnie na kurhanie, przyjmując defiladę.

No tak, nauczyciel Świątkiewicz z Borowa — gromady leżącej w powiecie kościańskim, człowiek niezwykle gładkiej wymowy, nie łatwym był początkowo dla mnie orzechem do zgryzienia.

Nie mogłem się oprzeć przekonaniu, że rozmawiam ze skarabeuszem, owym niezwykle sprytnym robakiem, który w niepojęty, wręcz zdumiewający sposób umie się doskonale urządzić.

Rozmawialiśmy długo o Borowie.

— No cóż: zarządzenia władz są tu skrupulatnie wykonywane, poznańscy chłopi są zawsze akuratni.

I wylazł mi na cały wieczór z ciekawymi, „poznańskimi" teoryjkami.

Wieś liczy około 600 mieszkańców. Z tego olbrzymia część to pracownicy słynnego w kraju, przodującego PGR-u, należącego do Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin (IHAR). Pozostali w liczbie kilkudziesięciu ludzi — to kułacy i ich rodziny. Indywidualnych średniaków, czy małorolnych nie ma.

Wszystko to jakieś ponoć inne niż gdzie indziej, jakieś niesłychanie poznańskie. Znaczy to według słów nauczyciela, że kułacy — to ludzie bardzo pracowici, gospodarzą uczciwie, płacą wysokie dniówki, a że im dobrze na swoim, więc też o założeniu spółdzielni produkcyjnej nie myślą. Oto dlaczego Świątkiewicz nie postawił, jako autorytet, sprawy socjalistycznej gospodarki w Borowie.

— Dobrzy ludzie z tych gospodarzy. Kiedy widzieli, że moja ziemia nie jest zaorana, przyszli sami, bez słowa wszystko na moich dwóch hektarach zrobili.

Widziałem za oknem pięknego mieszkania nauczycielskiego dzieci szkolne dźwigające ciężkie ule. Także dla nauczyciela.

*

Kiedy dzień zbliża się do końca, milkną metaliczne dźwięki młota, cichną głosy majsterki w warsztatach: Jan Sobieski, trochę mechanik, a trochę i kołodziej wraca do domu. Spotkałem go na drodze. Jest to człowiek zdumiewająco bezpośredni. Kiedy stwierdził, że jestem przedstawicielem prasy, wyrąbał śmiało o nauczycielu:

— Pije z kułakami! Jest ich sekretarzem, czy jak to nazwać, dość, że zawsze mają najlepiej wykręcone na swoją korzyść podania...

Wtrąca się do rozmowy robotnica rolna, Budzyńska:

— O, to bardzo kulturalny pan! Zawsze, nim uderzy dziecko, wpierw ostrzega.

Sprawa Świątkiewicza stała się już po prostu żenująca. Zmieniłem więc temat.

Zjawia się ślusarz PGR-u Ratajczak, dołącza i Heniek, syn Sobieskiego. Siadamy przed dawnymi czworakami; wędruje z rąk do rąk paczka „Mocnych".

Nie potrafię na razie tego uczucia inaczej nazwać: patriotyzm, przywiązanie do rodzinnych stron, nieustanna troska o ich dobro — narzucały się nieodparcie w czasie tej podnocnej rozmowy.

PGR jest olbrzymi: 900 ha dobrej ziemi! Dawni robotnicy rolni, poniewierani przez junkierskiego ka-



pitalistę, doskonale są zorientowani w charakterze produkcji; co więcej: widzą wielkie możliwości oddziaływania na chłopską okolicę. Sobieski wylicza spokojnie:

— Mamy tu 1600 sztuk bobrów. Aklimatyzujemy wiele nieznanych gatunków roślin oleistych. Na naszych poletkach znajdziesz taką odmianę słonecznika, że tylko oczy na wierzch wywracać z podziwu. Ale nie o to chodzi...

O cóż więc? Człowiek o królewskim nazwisku powiada, że setki robotników borowskiego PGR-u nie zdają sobie sprawy z tego, jaką właściwie instytucję reprezentują. Brak wciąż jeszcze roboty uświadamiającej. Ratajczak, obyty trochę po świecie, powiada, że Borowo można bardziej niż jakikolwiek inny PGR zużytkować dla sprawy socjalistycznej przebudowy wsi.

— A no u nas technika wysoka; bije na głowę nawet najtęższych kułaków wielkopolskich; a uprawy specjalne takie, że wpierw chłop wyłysieje, nim coś podobnego wymyśli. A to się trzyma, jak pod korcem — i za trzecim strumykiem już o Borowie ani słyszeli.

*

Sprawa nauczyciela Świątkiewicza powróciła niespodziewanie w czasie rozmowy u kierownika świetlicy ob. Wojciechowskiego.

Wojciechowski nazwał go „dzielnym organizatorem kulturalnym potrzeb Borowa". Założył tradycyjne w tych stronach kółko śpiewacze (które szczególnie gustowało w pieśniach religijnych) i orkiestrę przy straży pożarnej. Ta kończy w Borowie i okolicy każdą zabawę akompaniamentem na melodię: „Wszystkie nasze dzienne sprawy", a śpiewają podochoceni kułacy.

Wojciechowski z dumą pokazuje mi strażacką orkiestrę na zdjęciu. Po środku nasz skarabeusz Świątkiewicz, przepasany dziwaczną wstęgą pochwalną. Jest też i wypięty do przodu świetlicowy. Zasługi na polu kultury przypisuje głównie nauczycielowi. „Sam zorganizował — powiada z fałszywą skromnością — wycieczkę 20 robotników do poznańskiej opery".

— Ale to przedwczesna akcja; wcale im się nie podobało, wciąż jeszcze zacofani.

Idziemy wolno w stronę świetlicy. Wojciechowski wraca nagle po klucz. A później okazało się, że drzwi otworzy z racji mojego przybycia: pierwszy raz... od miesiąca!

*

A jednak wyjechałem z Borowa pełen optymizmu, powiem więcej: wzruszony. Nigdzie bowiem nie spotkałem takiego przywiązania do rodzinnych stron, tyle zamiłowania do prostych, zwykłych zawodów, co w PGR. Nie chodzi mi już o starszych robotników. Stary Sobieski oświadczył mi, że jego chłopak nie chce wędrować do miast po nauki; postanowił pozostać na miejscu... Kocha on konie; w każdy wolny czas myśli, jakby je najlepiej zużytkować; karmi je i pieści. A jaki przy tym znawca końskiej literatury! Powiada, że będzie pierwszym w pełni świadomym pracownikiem młodzieżowym w socjalistycznej gospodarce.

A znowu traktorzysta Stefczyk zadeklarował się, że będzie pierwszym kierowcą traktorowym z pełnym humanistycznym średnim wykształceniem, niezależnie oczywiście od technicznego. I jest tak z nim rzeczywiście. Ratajczak snuje wielkie plany przebudowy warsztatów mechanicznych i remontowych PGR które zrealizuje po odbyciu służby wojskowej.

— Co jaki chłopak z naszego wojska wróci, to taki w technice oblatany, że biją się o niego. Ale ja przyjdę tu z powrotem.

Przykład Borowa pokazuje radosny proces przywiązywania się młodzieży do rodzinnych stron. Młodzież ta widzi dla siebie nowe możliwości w Borowie; widzi, że wykształcenie, zawód zapewniają jej przyszłość na wsi, idącej szybko ku socjalizmowi. Borów nie miał nigdy tylu skomplikowanych maszyn, tylu agrotechników, inżynierów rolnych, tak szeroko rozbudowanej bazy technicznej.

I jeszcze jedno:

Wracam do borowskich skarabeuszy. Świątkiewicz — ów monopolista kultury, wysiadujący pod obrazem przedstawiającym jaśnie pańskie wojsko — jest już poważnie przez młodzież zagrożony. ZMP owska drużyna piłki nożnej zwróciła uwagę na Borowo. Przyjeżdża tu młodzież z innych LZS-ów; często odbywają się wspólne wieczory artystyczne; występuje często na nich traktorzysta Stefczyk, dusza zespołu; mówią często i starsi robotnicy, Jan Sobieski pochwalił mi się nawet, że ostatnio byli profesorowie na występach świetlicowych, poświęconych głównie walce z zabobonami i przesądami. Dowcipne wierszyki, wykpiwające miejscowe zelatorki i bigotki, udane piosenki, układane na poczekaniu do znanych melodii — spowodowały pierwszy w dziejach Borowa wykład o naukowym poglądzie na świat. Przyszło wielu robotników. Nie było tylko nauczycielskiego skarabeusza.

Daleko oczywiście w Borowie do pełnego życia kulturalnego. Nie prędko, być może, usłyszymy tam dobre odczyty i dyskusje związane z rewolucjonizowaniem rolnictwa. Ale kiełki nowego, posiane rękami młodych i starszych robotników PGR-u, wyrosły tej wiosny ponad wszelką wątpliwość.

Wojciech Bajerowicz

GUSTAW MORCINEK

ZA PRZYKŁADEM STACHANOWA

Może nawet niektóry z nich nie wiedział, kto to był Stachanow. Wystarczyło, że wiedział Wincenty Pstrowski i jego następcy. Świadomsi tej sprawy gotowi się jednak spierać, że nie Pstrowski był pierwszy, lecz Bernard Bugdoł. Nie chodzi w tym wypadku wcale o umniejszenie zasługi i sławy Pstrowskiemu, lecz o pierwszeństwo wzorowania się na Stachanowie. A może obaj równocześnie jęli się na nim wzorować. Pstrowski na swojej kopalni — Bugdoł ze swym bratem także na swojej. W rezultacie Pstrowski pierwszy rzucił wezwanie z kopalni „Jadwiga" w Zabrzu. Brzmiało ono osobliwie:

— Wzywam do współzawodnictwa towarzyszy - rębaczy z innych kopalni! Kto więcej wyrąbie węgla niż ja?...

W tym okresie rąbał węgiel ponad zwykłą normę Czesław Zieliński. Rąbali i inni, których nazwiska jęły z czasem tworzyć jakby girlandę ogromnie świetlną i szumną. Niektóre nazwiska utrzymały się, jak Markiewka, Apryas, Błaut... Niektóre przeszły w lekkie zapomnienie. Chociaż niesłusznie.

Górnicy patrzyli na Pstrowskiego i jego naśladowców, jak na ludzi nieco pomylonych. Kiż diabli? Tyle lat rąbali węgiel, i za czasów pruskich, i za czasów sanacji, i za czasów hitlerowskiej okupacji — a nikt z nich nie zastanawiał się, że można go wyrąbać ponad zwykłą normę. Owszem — można, ale kosztem nadmiernego wysiłku fizycznego, kosztem tak zwanej „pieruńskiej harówki", podczas której nie ma czasu nawet potu zetrzeć z twarzy, nie ma czasu odsapnąć, wyprościć kości chociażby na drobną chwilę, usiąść na moment pod ociosem i „pofanzolić ździebko" z kamratami.

— Od takiej roboty konie zdychają! — mawiali niewierni Tomasze, Tomaszewscy, Tomice, Tomki i Tomale.



Wcale nie zdychają. Pięknie to wyklarował Bernard Bugdoł.

Opowiadał mi, jak raz był świadkiem zabawnej sceny. Jechał swoją „Ifą" i na drodze do Wisły napotkał samochód stojący bezradnie obok drogi. Obok samochodu zaś stali również bezradnie trzej mężczyźni. Jeden z nich kierował wozem i widać, był to kierowca od siedmiu boleści, dwaj inni byli widocznie jego kolegami. Okazało się, że przednie prawe koło „złapało gwóźdź" i usiadło na sflaczałej oponie. Prosta rzecz — zmienia się wtedy koło i jedzie się dalej. Tamci trzej wiedzieli dobrze o tym i koło zamierzali zmienić, lecz „nawalił im" lewarek. A jak tu teraz podnieść wóz, by zmienić koło? To ci dopiero dylemat!... Próbowali wspólnymi siłami unieść go z boku i podsuwać kamienie pod ramę. Nic z tego. Wóz za ciężki, kamieni zaś nie sposób tak ułożyć, by tworzyły podstawę. Drogą przechodził chłop. Przystanął i przez chwilę patrzył na ich bezpłodną mordęgę.

— Ojciec, pieruna, chodźcie pomóc! — poprosił jeden z tamtych nieszczęśliwców.

„Ojciec" uśmiechnął się chytrze i obiecał pomóc. Prosił, żeby mieli jeszcze trochę cierpliwości, że on im zaraz pokaże, jak podnosi się samochód bez lewarka.

— Durny chłop! — mruknął trzeci nieszczęśliwiec, lekko obruszony protekcjonalnym tonem chłopa.

Tymczasem „durny chłop" poszedł do swego obejścia, znajdującego się tuż obok, wyszukał spory drąg, wyszukał mniej spory pniak i to, o czym już kiedyś Archimedes uczył, a czego uczą się dzisiaj mikrusy w szkole podstawowej, zastosował w całej rozciągłości, chociaż o Archimedesie nigdy nie słyszał, podobnie jak nie słyszał jego uczonego wywodu, że „nierówne ciężary równoważą się na dźwigni, jeżeli wielkości ich są odwrotnie proporcjonalne od odległości od osi". Osią był tutaj pniak. Wsparł na nim drąg, krótszy koniec wsunął pod ramę wozu, ujął za dłuższy koniec i zawołał:

— Panowie, uwaga!... — nacisnął lekko i podniósł wóz bez wysiłku.

„Panowie" zbaranieli i orzekli z kwaśną miną, że chłop nie jest „durnym chłopem", lecz mądrym chłopem.

Bernard Bugdoł o ślicznych czarnych oczach dodał, że jeżeli górnik postępuje w ten sam sposób, jak postąpił ów rzekomo „durny chłop" — każdy może stać się bez wysiłku przodownikiem pracy. Innymi słowy chodzi tutaj o usprawnienie pracy. Jednym z tych usprawnień jest na przykład umiejętność wiercenia otworów w caliźnie węglowej. Jeżeli zaś ktoś chce je umiejętnie wiercić, musi się zastanowić nad rodzajem uławicenia węgla. A jeżeli się zastanowi nad uławiceniem, musi przez doświadczenie znaleźć jego najsłabszą stronę, by skutecznie uderzyć. To wszystko wymaga tej prostej inteligencji, przezwanej potocznie „chłopskim rozumem", którą wykazał „durny chłop", podnoszący bez wysiłku wóz trzech ludzi rzekomo inteligentnych.

Wysiłek Pstrowskiego, czy Bugdoła nie na czym innym polegał, jak na zastosowaniu w pracy owego „chłopskiego rozumu". W tym wypadku musimy to nazwać „górniczym rozumem", jako że górnik czułby się dotknięty, gdyż rzemiosło górnicze uważa za królewskie rzemiosło, a te wszystkie inne za coś w rodzaju najwyżej książęcego rzemiosła. Wprawdzie król nie kopał nigdy węgla, a książę nie szył nigdy butów — dodaje uniewinniająco — lecz to jest tylko trochę za wykwintna metafora, która oddaje sens rzeczy.

Rewelacją były pierwsze wyczyny Pstrowskiego, Bugdoła i Zielińskiego. Schodzili się kamraci do ich przodków i patrzyli sceptycznie na ich nowe sposoby wiercenia otworów w caliźnie.

— Ha, pieruna! — mruczeli. — Mój starzyk wiercił po staremu, mój ojciec tak samo wiercił jak starzyk, ja tak samo, jak starzyk i ojciec, i dobrze było, a tu naraz jakieś nowomodne wymysły!...

Górnik jest bowiem konserwatystą. Niechętnie porzuca wypróbowane przez całe pokolenia metody pracy, by je zastąpić nowymi Po prostu nie dowierza im i nazywa je pogardliwie „nowomodnymi wymysłami". Tak długo, aż się do nich przekona.

Gdy zastosowano pierwsze kombajny w jednej z naszych kopalni, trudno było przekonać starych, doświadczonych rębaczy, że kombajn wyręczy człowieka w pracy. Ich sceptycyzm sięgał tak daleko, że radowali się, gdy kombajn raz i drugi legł pod zarwanym stropem. Wszelkie piękne słowa o wyścigu pracy, o planie sześcioletnim, o pokoju nie imały się ich głów i serc. Przekonał ich niesłychanie prosty argument. Oto jeden z inżynierów przyniósł ze soba do kopalni Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy". Chytrze bowiem wykoncypował, że ponieważ sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej jest tutaj bezsilny, zebrania i deklamacje mówców, naszpikowane wzniosłymi słowami, także bezsilne, to może chyba „chwyci" Sienkiewicz. I chwycił!... Inżynier kazał załodze z dotyczącego odcinka spocząć, usiąść gdzie komu wygodniej, i zapowiedział, że im coś przeczyta. I przeczytał maleńki fragmencik z powieści Sienkiewicza. Oto karawana Stasia wędruje przez pustynię. Natrafiają na rzekę. Spragnieni Murzyni rzucają się do niej, kładą na brzuchu i piją.

...i pili tak chciwie, że przestali dopiero wówczas, gdy krokodyl chwycił jednego z nich za rękę. Inni rzucili się na ratunek towarzysza i w jednej chwili wyciągnęli z wody wstrętnego jaszczura, który jednak nie chciał puścić ręki człowieka, choć otwierano mu paszczę za pomocą dzid i noży. Sprawę skończył dopiero oswojony słoń, King, który postawiwszy nogę na grzbiecie krokodyla, rozgniótł go tak łatwo, jakby to był zmurszały grzyb...

Skończył i spojrzał na górników.

— No, i co z tego? — zapytał jeden z nich.

Krokodyl nie chciał puścić ręki Murzyna. Puścił dopiero wtedy, gdy słoń stanął mu na grzbiecie i rozgniótł go, jakby to był zmurszały grzyb. Wasz węgiel także nie chce „puścić", chociaż się mordujecie jak wszyscy diabli, walicie pikami, szarpiecie, a w rezultacie nagrzebiecie węgla do czapki. Przyjdzie kombajn, jak tamten słoń, King, i węgiel „puści"!... Bo musi „puścić".

Przekonał wszystkich do kombajnu.

Pstrowski, bracia Bugdołowie, Zieliński i wszyscy inni, wielu ich tam było, przekonywali podobnie swych sceptycznych towarzyszy, że nie trzeba mieć tu — wtedy wskazywali na muskuł zgiętego ramienia — lecz tu — teraz pukali się palcem w głowę. Chodzi bowiem o to, by wiercić otwory w węglu nie w szablonowy sposób, lecz by trochę pomyśleć, podpatrzyć kierunek uławicenia ściany i dopiero potem wiercić. Raz na prawo w skos, innym razem na lewo, jeden otwór dłuższy, inny krótszy, czasem na krzyż, czasem niechaj ich kierunki odbiegają od siebie, słowem za każdym razem musi być inne wiercenie. A wtedy bez wysiłku — podobnie jak to było ze Stachanowem — fedrunek wzrasta szybko, wybiega ponad utartą normę, staje się nową normą, przy której i zarobek większy, a równocześnie wysiłek fizyczny mniejszy.

Ktoś może nie ma tego „górniczego rozumu" w głowie, tego samego, który miał rzekomo „durny chłop". Wtedy jego wyższa norma oparta jest tylko na wyczerpującym go szybko wysiłku fizycznym. W rezultacie wynik taki, że tego rodzaju przodownik pracy po pewnym czasie pozostaje daleko w tyle ze swym fedrunkiem, a sceptycy triumfują.

— A, widzisz, pierunie! Nie godołech?... — przechwalają się pod szybem.

Mądrze poczyna sobie Bernard Bugdoł. Mianowany dyrektorem „Zabrza-Wschód" jest nie tylko dyrektorem, ale i „fajnistym karlusem i kumplem". W języku górniczym oznacza to zacnego towarzysza, kolegę i przyjaciela. Nie tylko więc „odwala kawałki urzędowe", jakie przystoją dyrektorowi w jego biurze, zawalonym papierami, mapami, wykresami i ozdobionym wspaniałą głową górnika, wyrzeźbioną w węglu, lecz przede wszystkim wędruje po dalekich przodkach, filarach i ścianach swej sędziwej kopalni, liczącej sobie coś ponad 160 lat, zagląda do każdej „dziury" i okazuje swoje serce „karlusa nad karlusami".

Przychodzi do przodka i widzi, że strop niedbale podbudowany.

— Ty, Francek! — zwraca się do górnika, któremu może wcale nie jest Francek na imię — a jak myślisz? — i wkazuje kilofkiem na strop. — A gdyby tak się kamień urwał spod takiego chacharskiego obudowania, czy nie zrobiłby ci dziureczki w głowie?...

— Pieruna, dyrektorze! A dyć mocie prawie! Już się robi!...

Przyjdzie do innego przodka, pozdrowi jak się należy, siada na piętach i patrzy, jak kamraci wiercą otwory. Potem podchodzi i zaczyna przygadywać:

— Przebocz, Francek, ale mnie sie, tak zdo, że ta twoja dziura jest jakoś szuro!... A gdybyś ją se tak poprowadził? — wskazuje kilofkiem właściwy kierunek. — Widzisz, pierunie morski, że loga (uławicenie) idzie skośnie. Trzeba ją przeciąć na krzyż, a uwidzisz, pierunie, że węgiel się posypie jak wszyscy diabli!

Istotnie, gdy nastąpi odstrzał, węgla tyle się zwala, że wszyscy górnicy w przodku określają jego ilość, iż go do stu diabłów.

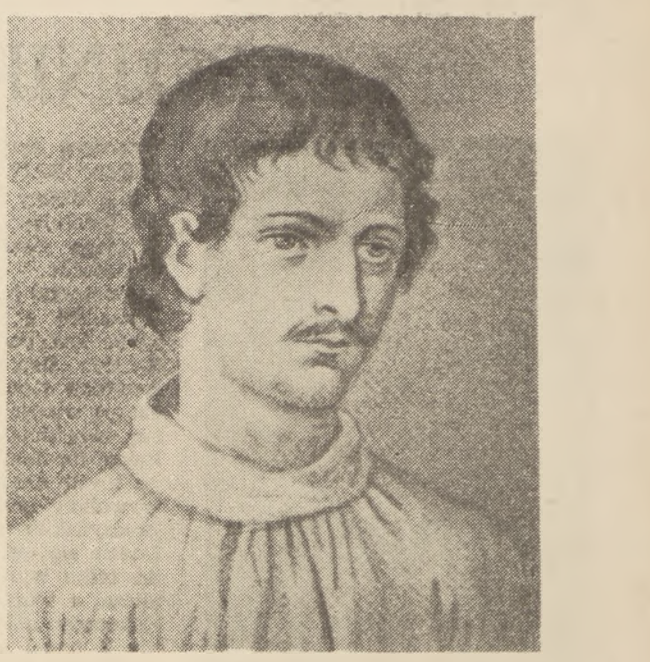
— Widzisz, pierunie, Francku!... Po drugi roz tak se wiertej, byś otworem przecinoł loga na krzyż!....

I chociaż dyrektor Bernard Bugdoł już jest teraz dyrektorem, który musi „odwalać uprzykrzone kawałki urzędowe", jego Zabrze-Wschód jest nadal kopalnią, której by się Stachanow nie powstydził.

Gustaw Morcinek



Portret Mikołaja Kopernika wykonany przez Marcelego Bacciarellego, malowany olejno na blasze miedzianej.



Giordano Bruno

JANUSZ KUCZYŃSKI

„REWOLUCJONISTA NAUKI I JEGO UCZEŃ"

410 lat temu, w 1543 roku, Kopernik ogłosił swą wielką teorię. Fryderyk Engels pisał: „Czynem rewolucyjnym, przez który przyrodoznawstwo ogłosiło swą niezależność... było wydanie nieśmiertelnego dzieła, w którym Kopernik... rzucił rękawicę kościelnemu autorytetowi w sprawach przyrodniczych. Odtąd datuje się wyzwolenie nauk przyrodniczych od teologii"...[1]) Kopernik na najwyższych piętrach naukowej abstrakcji rozprawił się ze średniowieczem i kościołem. Zadał decydujący cios ich ideologii. „Kopernik udzielił dymisji teologii" — mówił Engels. Przyrodoznawstwo wyzwalając się z pęt teologii, dymisjonowało ją nie tylko w dziedzinie przyrodniczych badań. Dzieło warmińskiego Komisarza i genialnego uczonego zdymisjonowało teologię całkowicie — „przed trybunałem rozumu". To była najistotniejsza cecha jednej strony rewolucyjnego czynu Kopernika — strony niszczącej. Rozbicie geocentryzmu likwidowało „po drodze" naiwne, średniowieczne wyobrażenia budowy wszechświata. Zawaliła się urojona hierarchia ciał „sfer" niebieskich, będąca „astronomiczną" sankcją najzupełniej rzeczywistej ziemskiej feudalnej hierarchii.

Ale przede wszystkim likwidowało przesłanki teologii: fałszywe wyobrażenia, że człowiek — istota centralna i wybrana — jest wyłączony ze świata przyrody, i dla niego istnieje cały wszechświat, likwidowało fałszywe rozumowanie, według którego Ziemia znajduje się w centrum wszechświata jako miejsce wybrane, na którym dokonało się cudowne dzieło „odkupienia"; jednocześnie likwidowało drugą stronę wewnętrznie sprzecznego kościelnego mitu, głoszącego, że Ziemia jest miejscem przeklętym, podległym władzy szatana, gdzie człowiek w ciężkim trudzie i wyrzeczeniach zdobywa zbawienie. Dalekosiężne były konsekwencje wielkiego odkrycia.

Rewolucyjny czyn Kopernika miał drugą stronę — stronę konstruktywną. Średniowiecze utrąciło rozum — dawny rozum starożytnych materialistów, objaśniających świat w sposób naturalny, jego własnymi czynnikami — i na jego miejscu postawiło mistykę i zabobon. Kopernik podniósł podeptany przez kościół rozum materialistów i uczynił zeń potężne narzędzie badania świata i kryterium prawdy. Przy jego pomocy odkrył rzeczywistą budowę wszechświata. Wzbogacił materializm, który rozwija się czerpiąc swą prawdę z odkryć nauki. Historia filozofii zna cztery formy materializmu w jego historycznym rozwoju: naiwny materializm starożytnych, mechanistyczny materializm XVII i XVIII wieku, materializm rosyjskich rewolucyjnych demokratów XIX wieku i materializm dialektyczny Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Kopernik odkryciem swym przyczynił się do ukształtowania tej drugiej, historycznej formy materializmu. Przyczynił się do zespolenia materializmu z przyrodoznawstwem. Głosząc, że Ziemia jest jedną z wielu planet układu słonecznego, inicjował naukowo uzasadnioną materialistyczną ideę jedności wszechświata, a więc i poznawalności jego nawet największych tajemnic. Był to triumfalny okrzyk na cześć ludzkiego rozumu, jego wielkiej siły i nieograniczonych możliwości poznawczych.. To wszystko określa wybitne miejsce Mikołaja Kopernika w historycznym kształtowaniu się naukowego światopoglądu.

Wielka prawda i wielka siła zawarta została w wykresach, obliczeniach i naukowym rozumowaniu „De revolutionibus". A epoka czekała na rozstrzygającą broń do dalszej walki ideologicznej. Trzeba było tę wielką siłę przełożyć z języka naukowej abstrakcji na język stosunków społecznych, język światopoglądu płatników kościelnej dziesięciny i szukającego wolności i prawdy prostego człowieka. Trzeba było wydobyć i pokazać wszystkim rewolucyjny, materialistyczny sens wielkiego odkrycia. A w roku 1543, w roku wydania „De revolutionibus" zmarł jego genialny autor. Było to — jak głosi legenda — w dniu otrzymania przez niego pierwszych egzemplarzy wydrukowanego dzieła.

✻

17 lutego 1600 roku odbywało się w Rzymie ponure widowisko; na stosie płonął człowiek, uczony z Noli, i długoletni więzień inkwizycji — Giordano Bruno, z polecenia „zastępcy Chrystusa na ziemi" — papieża — skazany na śmierć wyrokiem kongregacji kardynałów. Nolańczyk ginął za głoszenie wśród ludu włoskiego i uczonych Europy prawdy o wszechświecie.

Gdy nauka Mikołaja Kopernika dotarła do poszukującego prawdy — „pokarmu duszy" — umysłu Bruna, dostrzegł jej rewolucyjny materialistyczny sens, jej wielką prawdę i siłę. Pełen podziwu i czci dla swego poprzednika — nauczyciela pisał:

„Umysłu twego nie tknęła
nikczemność wieków ciemnoty,
A głosu nie zagłuszył wrzask
hałaśliwych głupców,
Szlachetny Koperniku, którego
dzieła-pomniki
W latach wczesnej młodości myślą
naszą wstrząsnęły"[2])

Giordano Bruno wyciągnął filozoficzne wnioski z odkrycia Kopernika, rozbudował i rozwinął jego teorię. Będąc kontynuatorem materialistycznej linii filozofii, zwracając się wzorem najbardziej postępowych ludzi Odrodzenia do filozofii Heraklita, Demokryta, Epikura i Lukrecjusza, w nauce Kopernika dojrzał podstawę, w oparciu o którą rozwinął dalej materialistyczny światopogląd, zespolił materializm z nauką, oparł go na jej fundamentach. Kopernik przygotował, a Bruno zrealizował dojrzałe już przejście materializmu w jego wyższą fazę rozwojową: materializm mechanistyczny XVII i XVIII wieku.

Powstała genialna, wychodząca z nauki Kopernika, materialistyczna wizja nieskończonego wszechświata. „Jak z okna pokoju widzisz tylko nieliczne przelatujące ptaki — mówił Nolańczyk — tak z Ziemi widzisz tylko niektóre z niezliczonych światów; a liczba tych światów jest nieskończona w ogromnych przestrzeniach wszechświata. I wszystkie one są podobne do siebie: na wielu z nich — tak jak na Ziemi — istnieją warunki życia i rozumne istoty. W całym wszechświecie występują jednolite prawidłowości — można więc poznawać go w nieskończoność, badać siłą ludzkiego rozumu".

Wielka teoria polskiego uczonego ukazywała światu swą siłę. Z prawdy jej wynikały nieuchronnie ateistyczne w konsekwencji wnioski. Giordano Bruno — bohater nauki — mówił przed inkwizycyjnym trybunałem: „Oświadczam, że istnieją niezliczone poszczególne światy, podobne do naszej Ziemi, którą... uważam za takąż samą gwiazdę jak Księżyc, planety lub inne niezliczone gwiazdy. Wszystkie te gwiazdy uważam za światy. Mnogość jest ich nieograniczona. Tworzą one w nieskończonej przestrzeni nieskończoną naturę i to nazywam nieskończonym wszechświatem, w którym zawarte są niezliczone światy. W ten sposób istnieje dwojakiego rodzaju nieskończoność — nieskończona wielkość wszechświata i nieskończona mnogość światów, z czego pośrednio wynika zaprzeczenie prawdy opartej na wierze."[3])

Niszczącą przesądne wyobrażenia siłę i odkrywczą prawdę nauki Kopernika przełożył Bruno z języka naukowej abstrakcji na język spragnionych wolności i ziemskiego szczęścia ludzi Odrodzenia. Tę prawdę głosił w swych licznych dziełach, adresowanych do włoskiego ludu: pisał językiem ojczystym, aby być zrozumiałym dla wszystkich. Prawdę kopernikowskiej nauki propagował odważnie i niestrudzenie w uniwersytetach Europy, nie bacząc na to, że spotykały go za to prześladowania. Głosił wytrwale i wszędzie światopoglądowe konsekwencje dzieła Kopernika: a więc to, że nauka przeczy teologii i wykazuje jej fałszywość; że człowiek tylko rozumem może poznać świat i nim może go poznawać w nieskończoność; że fałszywymi są średniowieczno-kościelne wyobrażenia budowy wszechświata i mylą się teologiczne autorytety; że człowiek jest częścią przyrody, a Ziemia — jedną z „gwiazd". Zaprzeczył Tomaszowi z Akwinu, który twierdził, że świat jako dzieło boże nie może być nieskończony; a więc głosząc nieskończoność wszechświata, negował, aby był on stworzony przez Boga.

Wszechświat jest nieskończony: nieskończony w przestrzeni i czasie. Z wieloletniego badawczego wysiłku Kopernika, z rewolucyjnej jego myśli i myśli jego następcy i ucznia — Giordano Bruno, powstawała naukowo uzasadniona materialistyczna idea jedności i wieczności wszechświata. A wraz z odkrywaniem wielkiej prawdy człowiek wyzwalał się z przesądów. Prawda i siła nauki Kopernika, ujawniona i wzbogacona przez Giordano Bruno, wystąpiła w filozofii Nolańczyka jako oręż w realnej walce politycznej i ideologicznej przeciw feudalnej jeszcze wszechwładzy kościoła. I wspaniałe dialogi „O nieskończoności, wszechświecie i światach". „Uczta popielcowa", „Uśmiercenie triumfującej bestii" — zawierały nie tylko tezy rozwijające naukę i filozofię: usuwały jej też z drogi rozwoju zwały błędów „wulgarnej filozofii", przesądów i kłamstw „ciemnoty". Krytyka ideologii kościoła zbiega się ściśle u Giordano Bruno z krytyką jego praktycznej działalności politycznej: oszukiwania i wyzyskiwania ludu, szerzenia ciemnoty i hamowania postępu społecznego i postępu ludzkiej myśli. Bezlitośnie obnaża perfidię kościelnego wyzysku: „Widziałem, jak mnisi z Castello w Genui pokazywali przez krótką chwilę wiernym wyjęty z pokrowca ogon osła, który dawali ludowi do całowania, wykrzykując przy tym: „Nie dotykajcie! Oglądajcie i całujcie! To jest święta relikwia błogosławionego osła, który zaszczycony został tym, że niósł Pana Naszego na Górze Oliwnej w Jerozolimie. Uwielbiajcie go, całujcie go! Dawajcie jałmużnę. Stokrotnie będzie Wam to zwrócone i zyskacie sobie życie wieczne!"[4]) Atakuje jedną z podstaw potęgi kościoła — jego bogactwa: „Aczkolwiek wielce szanuję Mądrą Republikę Wenecką — mówił do jej mieszkańca, szlachcica Giovanni Mocenigo który zaprosił go do swego domu, a później wydał inkwizycji — nie rozumiem jednak, dlaczego pozostawia ona tyle bogactw w rękach mnichów. Należy postąpić tak jak we Francji... gdzie mnisi jedzą trochę zupy, jak przystało, wszyscy bowiem, którzy w naszych czasach wstępują do klasztoru, są wielkimi osłami."[5])

Nauki Giordano Bruno, propagujące w uniwersytetach i miastach Europy teorię Kopernika, ukazujące jej rewolucyjną, materialistyczną zawartość, głoszące prawdziwą i wyzwalającą wizję wszechświata, atakujące obskurantyzm kościoła i barbarzyństwo jego ideologii, stały się ideologiczną bronią ludzi Renesansu w walce z feudalno-kościelną reakcją. Z dzieła wielkiego polskiego uczonego wyzwolił Nolańczyk, jego uczeń, zawartą w nim siłę i uczynił narzędziem walki o postęp społeczny i rozwój nauki. I za to zginął z wyroku papieskiej inkwizycji. Pierwszy akt dramatu, którego początkiem był rok 1543, zakończył się 17 lutego 1600 roku na Campo di Fiore.

Ale nauki, którą stworzył Polak Mikołaj Kopernik i za którą zginął jego uczeń, następca i kontynuator, Włoch Giordano Bruno, nie mogły zniszczyć siły reakcji: była nauką prawdziwą i stała się symbolem postępu i odwagi ludzkiego myślenia. Kopernik w wieku XVI podniósł podeptany przez średniowieczny kościół rozum starożytnych materialistów i uczynił go sztandarem naukowych badań. Dziś marksizm podnosi zdeptaną i sfałszowaną przez kościół i współczesną burżuazje teorię wielkiego polskiego uczonego i imię jej twórcy czyni sztandarem idei naukowego i społecznego postępu. A polski lud dziś, w 410 lat po roku 1543, uroczyście i z dumą czci zasługi i pamięć swego wielkiego uczonego.

Janusz Kuczyński

1) F. Engels — „Dialektyka przyrody", „Książka i Wiedza", 1952, str. 8.

2) „Giordano Bruno przed trybunałem inkwizycji. Akta procesu". „Książka i Wiedza", 1953, str. 15.

3) Tamże, str. 58.

4) Tamże str. 142.

5) Tamże, str. 47.

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

O ZBÓJNIKU CO RÓWNAŁ ŚWIAT

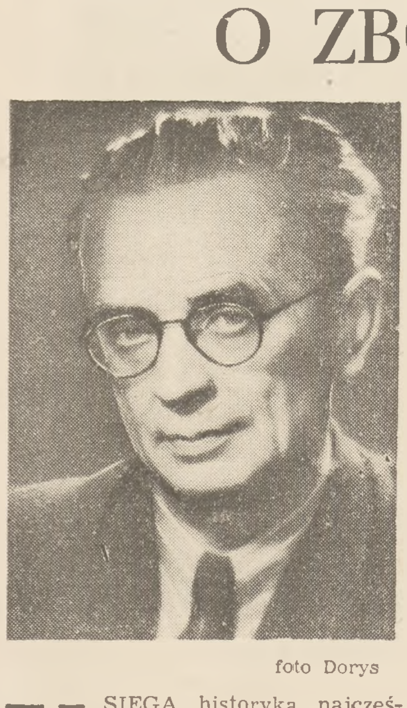


foto Dorys

KSIĘGA historyka najczęściej potępiała legendę. Ludowa fantazja, skazana na pamięć ludzką, trwalszą, ale mniej wierną od kronik, przekazywała pokoleniom rzecz innej ceny — marzenia ludu, odbijające w wielkim, żywiołowym symbolu pragnienia społeczne warstw uciskanych. W epokach formacji klasowych podstawową dążnością i marzeniem była wolność i równość społeczna. Nędza i pragnienia ludu podgórskiego stworzyły podania o zbójnikach. Na Żywiecczyźnie jest Proćpak, na Bukowinie — Ketara, na Rusi Podkarpackiej — Marczaj i Dańka, Rusi Czerwonej — Madej, Huculszczyźnie — Dobosz, Łemkowszczyźnie — Barnaś, w Słowacji — Janosik, na Śląsku za Odrą — Ondraszek. O „Ondraszku" mówi ostatnia powieść Gustawa Morcinka.

„Ondraszek" jest jeszcze jedną legendą o zbójniku z Zielonego Śląska z przełomu XVII-XVIII wieku. Jeszcze jedną — bo przeszkadzało Ondraszkowi w zbójnikowaniu wielu pisarzy, znęconych bujnością jego życia. Pisarze czescy i morawscy XIX wieku stępili mu zbójecki obuszek i uczynili go jakimś śląskim Don Juanem, „który poszedł dlatego w zbóje, że miał romantyczną historię z hrabiną Prażmą". Ondraszek pociągał również pisarzy polskich na Śląsku (Robert Zanibal (Czanibal), Emanuel Grim). Wreszcie przyszła książka Morcinka.

„Ondraszek" stanowi dzieło niemal całego okresu pracy pisarskiej Morcinka. Szebesta pojawia się w jego twórczości już w r. 1932 na łamach „Zarania Śląskiego" i w tomie „Chleb na kamieniu". Zestawienie i porównanie tych fragmentów z wydaną niedawno książką, nie jest zabiegiem czysto formalnym. Daje nam możność prześledzenia procesu pracy nad książką. Zmiany tekstu, jakie spostrzegamy w stosunku do rozdziałów „Zarania Śląskiego" i „Chleba na kamieniu" idą w kierunku nasycenia tekstu realiami historycznymi. Zaostrza się u Morcinka realizm obserwacji. Równolegle z korektą obrazu artystycznego, przetrzebił Morcinek chwasty młodopolskiego języka, które bujnie pleniły się w rozdziałach lat 1932 — 35. Zwłaszcza w użyciu gwary.

Co wniósł nowego „Ondraszek" Morcinka w stosunku do zastanego materiału legendowego? Jakie osiągnięcia estetyczno - ideologiczne tej książki warte są bacznej uwagi?

Zacznijmy przede wszystkim od głównego bohatera utworu — Ondraszka Szebesty. Dialektyczna prawidłowość rozwoju tej postaci jest w ogóle chyba najbardziej udaną w twórczości Morcinka, który nie bardzo sobie radzi z przemianami wewnętrznymi bohaterów. Przekonuje nas warcholstwo młodości Ondraszka, podsycane dumą ojca, bogatego, dziedzicznego wójta z Janowic. W zwichrzonym łbie chłopca nie ma jeszcze ani jednej myśli poważniejszej. To wiatr halny, hulający bez celu i bezkarnie. Na zamku grafa Prażmy spostrzega niedolę poddanego. Żywiołowo rozprawia się z wykonawcą woli ciemiężcy — włodarzem Bączkiem. Garbuje mu skórę jego własnym batem. Zdrada grafini Lizetty, okrucieństwo wyroku grafa Prażmy napełniają Ondraszka jedynie poczuciem krzywdy osobistej. Zalążki solidarności ze społeczeństwem pojawiają się w zetknięciu z nędzą bytowania gwarków w kopalni pod Tarnowskimi Górami. Bestialstwa klucznika świerklinieckiego zamku, Piotra Piekielnika (zakucie w dyby starca — ojca Moronia, za niestawienie się do pracy w dukli) staje się przyczyną buntu sponiewieranych gwarków, którym przewodzi Ondraszek. Ale i tutaj jeszcze rządzi żywiołowość. Myśl o zbójnictwie jest jeszcze nieobecna. Pojawia się ona dopiero w czasie służby w szeregach kuruców Rakoczego, walczących o wyzwolenie Węgier spod władzy Habsburgów. Jest to jednak także myśl o zbójnictwie żywiołowym. „Uśmiechnął się Ondraszek do tamtej zuchwałej myśli o zbójach. Ha! Wcześniej czy później pójdzie w zbóje... Gdy mu zmierznie wojowanie w regimencie kuruców dla obcej sprawy Rakoczego, skrzyknie kamratów i pójdzie. Bo czy zwycięży Rakoczy, czy Habsburg, nic się nie zmieni w twardym żywobyciu słowackiego chłopa" (s. 196).

Nie dajmy się jednak zmylić treści ostatniego zdania. Treść ta nie przylega jeszcze do działalności Ondraszka. Morcinek tutaj zbyt przyspieszył kroku, jak gdyby chcąc uprzedzić zniecierpliwienie czytelnika. Tak pomyślał autor, nie Ondraszek. Dopiero bunt w szeregach kapitana Kolomana (wojsko Rakoczego) wyzwala w Ondraszku głębszą świadomość sensu walki, ludzkiego działania. Znamienne są jego myśli na str. 232: „Cóż znaczył wywołany przez niego bunt w debreczyńskim regimencie kuruców? Ludzie się wzajemnie wymordowali, on tylko wyratował Cygana Petrowicza, a wojna między kurucami Rakoczego a Rakuszanami nie ustanie i nadal będzie przekleństwem dla słowackiego chłopa". Tutaj ostatnie zdanie jest już organicznie związane z postawą Ondraszka. Treść jego poddana jest próbie praktyki, uczestniczy w losie bohatera, dojrzewa w goryczy społecznych doświadczeń. Ondraszek nagle zapragnie zostać następcą Chmielnickiego, Kostki Napierskiego, Kaspra Piki... Przekonywającym momentem przełomu w świadomości ideologicznej Ondraszka jest śmierć Janosika. Napad na zamek lanckoroński ma tylko konsekwencję, być może nawet wbrew intencji autora, materialną: zaopatruje kiesy zbójnickie w talary. Ondraszek w pierwszej chwili zdecydowany jest uwolnić skazanego na śmierć Janosika. Kiedy jednak pisarczyk sądu przedstawia Ondraszkowi rejestr czynów Janosika, nie wychodzących poza zwykłe „zbijanie" — Ondraszek cofa swoją decyzję. Momentem decydującym dla niego jest brak udziału Janosika w walce o sprawę chłopską. Trzeba przyznać, że Morcinek akcję poprowadził tu śmiało, wypowiedział ją z dużą sugestią artystyczną, opartą o konsekwentną linię wzrostu świadomości społecznej Ondraszka. Ondraszek będzie potem żałował swego postanowienia — zrozumie okrucieństwo wyroku magnackiego, zrozumie, że są dwie sprawiedliwości — jedna dla panów, druga dla chłopów. Ale pierwszy odruch jest zupełnie zgodny z jego żywiołową naturą. Zapewne w decyzji tej, którą ze względu na brak dokumentacji, można interpretować z dużą dowolnością, wielką rolę odegrała zadawniona uraza Ondraszka do Janosika. Janosik zmusił kuruców ondraszkowych do złożenia sobie przysięgi na wierność, wbrew moralności zbójnickiej. Ale Ondraszek zbuntował się przede wszystkim przeciwko lichocie czynów Janosika.

Dojrzewa w Ondraszku świadomość, że jedyną drogą przeciwstawienia się krzywdzie społecznej, nieludzkości feudałów jest poruszenie jak najszerszych mas chłopskich w walce przeciwko zamkom frydeckim i lanckorońskim, gdzie zagnieździli się oprawcy biedoty, rabusie krwawicy chłopskiej. I wówczas zjawia się z posłannictwem Szczęsny Łętowski, aby przekazać Ondraszkowi dziedzictwo krwi Kostki Napierskiego i Stanisława Łętowskiego, marszałka chłopskiego. Ondraszek to dziedzictwo przejmuje. Niestety, pada na progu walki.

Drugą niewątpliwie udaną postacią „Ondraszka" jest Braciszek — „wypędek klasztorny o gębie sowizdrzała". Postać to bardzo typowa dla stosunków feudalnych, dla doby ostatecznego skostnienia scholastyki kościelnej. Jest to ludowy mędrek, okpiświat, dobry kompan i zażarty wróg magnatów. Morcinek wyprowadza jego rodowód od Zagłoby, martwiąc się, chyba przedwcześnie, że mu ktoś wypomni ową koligację. Gdzie mu tam do Zagłoby! Rodowodu Braciszka należy szukać nie u Sienkiewicza, lecz w literaturze rybałtowskiej. Mędrkowie tacy pojawiają się u Morcinka już jako pewien nawyk. Wystarczy przypomnieć Tykę z „Urodzaju ludzi", czy Jurę Probosza przezwanego Sowizdrzałem z „Pokładu Joanny". Ale Braciszek przewyższa ich rozmachem życia, mądrością ludową, na którą Morcinek jest szczególnie uczulony.

Braciszkowi dał autor szczególną rolę — ukazania procesu tworzenia się legendy o Ondraszku. To on, na oczach czytelnika czyni z Ondraszka niezwyciężonego charakternika, puszczając w obieg nieprawdopodobne wieści o jego sile nadprzyrodzonej. W dolinie, wśród wrogów i przyjaciół zaczynają one krążyć, jako prawda udowodniona. Jesteśmy świadkami narodzin wątłego źródełka legendy. Pomysł z odkryciem narodzin legendy o Ondraszku, nie przeprowadzony wprawdzie konsekwentnie, należy do najlepszych zabiegów ideologicznych i artystycznych „Ondraszka".

Rozwój głównego bohatera i postać Braciszka są przekonywające. Przekonuje również obraz krzywdy chłopskiej ukazany na kartach powieści. We wstępie czytamy o wnikliwych studiach historycznych autora nad sprawą chłopską na Śląsku, na przełomie wieku XVII — XVIII. Szczególnie cieszą mnie słowa uznania, jakie ma Morcinek dla Franciszka Popiołka, autora Dziejów Śląska Cieszyńskiego i Ludwika Brożka. Stąd zapewne czerpało się dobrą wiedzę. Ale reszty dokonywała intuicja twórcza.

Morcinek w swym oskarżeniu krzywdy chłopskiej wyszedł z faktów historycznych i z oświeceniowej, antyfeudalnej publicystyki. Jego Ondraszek przemierza świat i przetwarza go w sobie, jak wędrujący filozof Oświecenia. „Wędrował więc (Ondraszek) i patrzył innymi oczami na ludzkie życie. Zżymał się na widok chłopów za pługiem, przywiązanych drobnym łańcuchem do czepig, patrzył z gniewem, jak włodarze walili ich bykowcami po schylonych grzbietach, jak chłopi grzebali w ziemi, opaleni, kudłaci, w jakichś łachmanach, jak zapijali się dworską wódką, którą przecież trzeba było wypić, bo czy ją wypili, czy nie wypili, zapłacić za nią musieli panu. Słuchał ich narzekań i utyskiwań, ze zdumieniem spostrzegał, że wszyscy są podobni nie do ludzi, lecz do roboczych bydląt, zawszonych, brudnych, owrzodzonych, cuchnących i zalęknionych..." (s. 231-232). A oto stosunki na zamku lanckorońskim: „Starościna Marianna ze Stadnickich, chociaż szczodrze wyposażyła klasztory opolskie, niecnie sobie poczynała wśród swych chłopów pańszczyźnianych, gnębiąc ich ponad wszelkie wyrozumienie, mnożąc robociznę i posługi zamkowe ponad wszelką miarę, łupiąc z poddanych skórę, otrocząc nimi, bijąc, w gąsiory zamykając, nawet na szubienicy wieszając za byle drobne przewinienia (...) Bieda tam była stonaremna — głód, choroby, wszy, kołtun, grzech, przekleństwo — i słusznie wszyscy powiadali, że starościna Marianna ze Stadnickich wysysa nie tylko siły chłopskie, babskie i dziecięce, lecz wysysa ich krew niczym prawdziwa mora. Ludzie bowiem marli z wycieńczenia i chorób, a tamta łaziła z harapem po chałupach, podobna do brzuchatej czarownicy i bykowcem prała, spędzała konających z barłogów, do pracy na pańskim zaganiała" (s. 265). Nie mnóżmy przykładów. Są wystarczająco sugestywne, aby odnaleźć je w książce. Szkoda tylko, że Morcinek ukazał je często zbyt statycznie, a nieraz jedynie w narracji.

Ale bat nie zawsze potrafił ujarzmić zbuntowaną duszę chłopską. Często działo się wręcz odwrotnie — i pańskie dziedziny nawiedzał czerwony kur. Ważnym czynnikiem w ujarzmianiu sił chłopstwa grożącego buntem, była ciemnota, zabobon. Wiele napisano u nas o procesach czarownic. Morcinek wyciągnął z tego wnioski ideologiczne i artystyczne. Tak, jak poprzez postać Braciszka ukazał Morcinek źródło ondraszkowej legendy — poprzez postać patra Santariusa, zgorzkniałego kaznodziei na zamku frydeckim, odsłonił nam źródło i funkcję zabobonu. Pater Santarius, sługa boży inkwizycji i feudałów, jest świadom, że ciemnotę można wykorzystać do odwrócenia uwagi plebsu od krzywdy społecznej. Ondraszek padł ofiarą zręcznie wykorzystanego zabobonu, kiedy to kler zdołał wmówić tłumom, że czarny mór jest karą boską za zmowę zbójecką z Ondraszkiem. Sprawy Ondraszka grzebie klęska żywiołowa, niedojrzałość ideologiczna mas chłopskich. Cios zdrajcy Juraszka zabija hetmana już pokonanego. Szebesta pada w połowie drogi.

✻

W połowie drogi potyka się również Morcinek.

Chodzi przede wszystkim o niekonsekwencję rozwoju wątków legendowych. Jeden z nich szczęśliwą inwencją wyprowadza pisarz z plebejskiej fantazji Braciszka: są to mity o nieśmiertelności Ondraszka, o tym, że go nie imają się kule, że trzyma pakt z diabłem. Jest to wreszcie zręcznie wykorzystany w akcji mit o obuszku Ondraszka. Morcinek załamał jednak konsekwencję tej postawy. Wprowadził na serio mit o inkluzie i flecie czarodziejskim cygana Marko. Nawet diabłów — najsilniejszy żywioł ludowej fantazji, przedstawił Morcinek w „Ondraszku" jako wytwór chorobliwego majaczenia („U Baby Lucy"), a inkluza i flet ocalił dla mroku średniowiecza. Te dwie postawy wobec legendy niewątpliwie kłócą się ze sobą. Pokrzyżowały się tutaj zapewne: chęć wiernego przekazania klechdy i twórcza praca pisarza, oparta o materiał historyczny. Legenda ludowa żywiołowo prowadziła autora w innym kierunku, a autor naginał ją ku historii, ku racjonalizmowi, materialistycznej interpretacji fantastycznej fabuły. Co innego jest przecież historia biczowników, a co innego somnambuliczny taniec tłumów pod szubienicą, wywołany grą czarodziejską (s. 235)

Dalszy sprzeciw budzą elementy naturalizmu w „Ondraszku". Uderzają one w scenie obrzydliwych pieszczot starego rektora Miscetiusa, w opisie jego zwłok. A już wręcz naturalistyczny jest opis zabijania insektów przez grafinię Lizettę Prażmową. Morcinek zbyt ulega efektowi, pociąga go sensacja, egzotyka. Stąd tworzenie się akcji pobocznych, „zagubionych chodników", gdzie łatwo o przygodę, jak i o guz... autorowi. Taką funkcję pełni w „Ondraszku" nie związany organicznie z akcją rozdział pt. „Infamis". Rozdział „Burmistrzanka Gryzelda" był w roku 1932 opublikowany jako nowela, stanowiąca odrębną całość i tę cechę odrębności zachował w powieści — mimo że autor związał go w zakończeniu z „Ondraszkiem". Poza tym rozdział ten odsłania jeszcze jeden przejaw niepokojącego nawyku Morcinka — powtarzania postaci. Burmistrzanka Gryzelda, mieszczańskie cielątko ulega Italczykowi Ferdinandowi kurucowi, a potem zbójnikowi ondraszkowemu. Postać ta zbyt przypomina Strandellę z „Pokładu Joanny", którego ojczyzną właściwą są również Włochy. A Morcinka przecież stać na postacie nowe i odkrywcze.

W uwagach krytycznych musimy się jeszcze chwilę zatrzymać nad klimatem historycznym i obyczajowym „Ondraszka". Wstęp Morcinka do powieści, zawierający opis stosunku do źródeł historycznych, które autor wykorzystuje jako tło epoki, upoważnia mnie do uważnego traktowania materiału powieściowego. Książka zawiera w sobie niewątpliwie rzetelny ładunek historyczności. Uczoność kart „Ondraszka" jest czasem przejaskrawiona. Tytuły dzieł, rozpraw teologicznych, terminów scholastycznych często żyją same dla siebie, jest ich zbyt wiele. Ale nie tylko o to chodzi. Chodzi o to, czy w pewnych wypadkach rzetelność historyczna nie zawodzi. Oto np. pater Foldyn, trzymający ze zbójnikami, przeciwstawiony świadomie satanicznemu trochę patrowi Santariusowi, tak mówi do Ondraszka o nędzy chłopskiej: „Widzę miliony stworzeń, z których jedne wpółnago chodzą, inne łachmanami okryte, a w łachmanach wszy gmerają! A miliony tych chłopów, wyschłe, wynędzniałe, obrosłe, zakopciałe! Oczy głęboko w głowie zapadłe! Dychawicznymi piersiami bezustannie robią! Posępne, zadurzałe i głupie! Mało co czują i mało myślą, a to ich największa szczęśliwość. Ich postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza aniżeli do człowieka" itd. (s. 279). Słowa te są wypowiedziane gdzieś koło roku 1710, w każdym razie przed śmiercią Janosika, która miała miejsce w roku 1713. A przecież są to niemal identyczne słowa wielkiego ideologa Oświecenia — Stanisława Staszica, napisane w r. 1730 w „Przestrogach dla Polski".

Jeśli się nawet uzna, że obraz krzywdy chłopa na Śląsku na przełomie wieku XVII-XVIII mógł być wypowiedziany ustami patra Foldyna, w sposób identyczny, jak czyni to najbardziej postępowy ideolog Oświecenia — pozostaje sprawa wskazania źródła w przypisie, właśnie w imię owej rzetelności historycznej, akcentowanej w przedmowie. Ta druga uwaga dotyczy również słów kazania patra Santariusa w kaplicy frydeckiej, krytykujących strojenia się białogłów, bezmyślnie tracących czas przed lustrem. Słowa te możemy bez trudu odnaleźć w „Monitorze" z roku 1767 nr 102. Być może Morcinek zna ów tekst z późniejszego przedruku, ale i w tym wypadku należało bodaj wspomnieć o metodzie posługiwania się tekstem drukowanym. Niepokój budzi również treść „listu z nieba" pióra Braciszka (s. 369-371), niewiele odbiegająca od ideologii „Złotej książeczki" Ściegiennego, powstałej w połowie XIX w!

✻

Morcinek, sięgając do legendy o Ondraszku, stanął przed bardzo trudnym zadaniem — ocalenia Ondraszka przed błędami poprzedników. I zadanie to w dużym stopniu spełnił. W większości wypadków umiejętnie nasycił tło legendy historią i klimatem obyczajowym. „Ondraszek" jest legendą o nowych treściach i nowych walorach artystycznych. O nowej treści morcinkowej legendy decyduje uogólniona prawda o biedzie chłopstwa na Dolnym Śląsku na przełomie XVII-XVIII wieku. Morcinek ukazał społeczne źródła zbójnictwa — nędzę chłopstwa podgórskiego. Źródło to w literaturze było zasypywane śmieciami romansu awanturniczego. Poza tym ukazał przekonująco psychologicznie i literacko drogę rozwoju bohatera. Wprawdzie zachowane elementy legendowego przeznaczenia, determinizmu zapowiadają niezwykłość tej drogi, lecz Morcinek w realnych wymiarach rzeczywistości ukazuje jak, i w warunkach jakiego doświadczenia osobistego i społecznego (tych doświadczeń w ogóle nie można od siebie odrywać), wyrostek, podnoszący na ojca rękę, uzbrojoną nożem — wyrósł na hetmana zbójnickiego „równającego świat"!

„Powieść pod tytułem „Ondraszek" — czytamy w przedmowie słowa autora — powstała, jak każda inna książka. To znaczy: z materiałów, życia, twórczej fantazji, pracy, ślęczenia nad starymi szpargałami i z wielu innych rzeczy. Jedną z nich, może najważniejszą, było pragnienie, żeby l e g e n d ę śląską (podkreślenie moje) o zbójeckiej swobodzie i chłopskiej tęsknocie za wolnością przekazać ludziom, którzy o tych sprawach mało wiedzą" (s. 5).

Trzeba więc przy spojrzeniu na nową książkę Morcinka wychodzić od zamierzeń autora. Trzeba uwzględnić materiał historyczny książki w rozmiarach, na jakie pozwala sam autor. Spojrzenie na Ondraszka jedynie od strony historycznej, nie da właściwych rezultatów. Niech urok legendy ulubionej przez lud Śląska i matkę Morcinka, steraną „ograbulę" pracującą niegdyś na szybie „Jana" w Karwinie — działa. A jeśli szperacze wygrzebią materiały zagrażające legendzie? Nie lekceważmy tego. Wtedy Morcinek obroni się ondraszkowym obuszkiem, który, jak wieść niesie, jest w jego posiadaniu.

Tymoteusz Karpowicz

*) Gustaw Morcinek „Ondraszek", powieść, „Czytelnik", Warszawa, 1953 r

Sygnały...

SŁAW KRZEMIEŃ

O powieściach Wandy Melcer

W ciągu ostatnich dwu lat wyszły z druku trzy powieści Wandy Melcer. Pierwsza z nich „Ameryka szuka piechura"*) jest powieścią o dywersji i szpiegostwie w naszym kraju. Druga („Powrót kapitana Czapli") **) opowiada o rozwoju wsi na przykładzie jednego z Państwowych Gospodarstw Rolnych. Trzecia wreszcie („Statek 1092") ***) jest powieścią, której problematyka dotyczy wojny bakteriologicznej w Korei.

Z wszystkich tych trzech książek najistotniejsze znaczenie ma powieść o kapitanie Czapli.

Do źle kierowanego i źle prosperującego PGR w Jarostach przybywa z wojska wyrobiony aktywista partyjny — kapitan Czapla. Czapla, opierając się na najwartościowszych członkach miejscowego kolektywu, rozpoczyna walkę o poprawę sytuacji ekonomicznej PGR.

Sytuacja ta jest bardzo zła. Wrogie i nie kontrolowane kierownictwo nie dba ani o warunki pracy, ani o świadomość ideową ludzi, panuje więc ogólne zniechęcenie i rozprężenie. Jednocześnie jednak ten fatalny stan rzeczy zaczyna niepokoić najlepsze elementy spośród robotników PGR. W toku walki o poprawę sytuacji w PGR-ze, załoga oczyściwszy swoje szeregi z ludzi wrogich i doprowadziwszy do zmiany kierownictwa zespołu, powoli staje się coraz bardziej skrystalizowanym, świadomym, socjalistycznym kolektywem.

W powieści jest wiele optymizmu i wiary w człowieka, w jego piękno, w zdrowe cechy, które w warunkach, jakie stwarza ustrój ludowy, mogą się swobodnie rozwijać.

Książka jest jednak — mimo niewątpliwych zalet — bardzo niejednolita, nierówna. Obok wielu miejsc trafnych i cennych jest w niej również wiele momentów słabych, niedostatecznie przemyślanych. Powieść sprawia wrażenie jak gdyby była pisana zbyt pośpiesznie, bez dostatecznego opracowania wszystkich szczegółów.

Postacie pozytywne w zamyśle autorskim niejednokrotnie interesujące — w powieści są często zbyt ubogie. Ich przeżycia są nieraz bardzo naiwne, ich postępowanie mało umotywowane, lub niekonsekwentne, ich rozmowy zbyt często przesycone gazetowym, sloganowym sposobem myślenia i mówienia.

Na przykład bardzo mało umotywowane psychologicznie jest załamanie się i utrata wiary w swoje siły kapitana Czapli (s. 66) Zaskakuje przy tym czytelnika jego oświadczenie, że „jadąc tutaj myślał, że trafi na spokojną robotę, którą dobrze zna, i z której potrafi się wywiązać". Zaskakuje dlatego, że cały dotychczasowy tok powieści, m. in. rozmowa Czapli z pułkownikiem, (s. 18) przekonywa czytelnika, że Czapla doskonale wiedział o warunkach pracy na wsi.

Wspomniana postać pułkownika jest chyba najbardziej chybioną postacią ze wszystkich, które występują w powieści. Ten człowiek, któremu autorka przeznacza bardzo wysoką rangę społeczną i moralną, w rozmowie z Czaplą zdobywa się jedynie na kilka gazetowych, patetycznych, sztucznych zdań, zawierających stwierdzenia powszechnie znane. Tylko dobra wola autorki sprawia, że Czapla jest tą rozmową szczerze zachwycony.

◆

Nieco inaczej wygląda problem powieści „Ameryka szuka piechura" — powieści o dywersji amerykańskiej w naszym kraju.

Powieść ta stanowi próbę zastosowania starego schematu powieści kryminalnej dla wyrażenia współczesnego konfliktu między dywersją a siłami postępu — próbę — jak się wydaje — nie w pełni udaną.

Zachowane zostały tutaj wszystkie zasadnicze formalne cechy powieści sensacyjnej. To, co jest nowego, dotyczy treści: tradycyjna szajka zbrodniarzy (wraz z nieodzowną piękną, wyrafinowaną przestępczynią) jest częścią wywiadu amerykańskiego i działa na szkodę państwa polskiego. W roli detektywów występuje dwóch funkcjonariuszy UB. Autorka wkłada przy tym wiele dobrej woli, aby ukazać we właściwym świetle motywy i środki działania zarówno jednej, jak i drugiej strony, aby dowieść całkowitego prawie osamotnienia i beznadziejności sytuacji wrogów państwa, w którego obronie staje solidarnie cały naród. Tym celom służy też wprowadzenie do akcji pewnych elementów, które wykraczają właściwie poza zakres środków, odziedziczonych po powieści sensacyjnej. Są to motywy związane z jednej strony z postacią prostej kobiety, którą nowe życie uczyniło świadomą bojowniczką o przyszłość, z drugiej zaś z postacią „Szarego" — osamotnionego członka bandy leśnej, jednego z bardzo nielicznych już sojuszników dywersji.

◆

Ujęcie w formę powieściową problematyki przygotowań do wojny bakteriologicznej w Korei powiodło się autorce nieco lepiej, niż próba przedstawienia losów dywersanta.

Prosty, nieskomplikowany konflikt posłużył jako podstawa do stworzenia opowieści o amerykańskim statku szpitalnym 1092, na którym amerykańscy lekarze w tajemnicy przed załogą zajmują się przygotowaniami do wojny bakteriologicznej.

Co prawda, ta prostota i naturalność w ujęciu toku zdarzeń w „Statku 1092", która stanowi niewątpliwą zaletę tej książki w porównaniu z omawianą poprzednio powieścią o dywersji, staje się jej wadą, gdyż posunięta zbyt daleko, prowadzi do uproszczeń i spłyceń. Nieprawdopodobnie naiwni są bowiem Amerykanie, którzy sądzą, że nie wzbudzi zainteresowania i niepokoju wśród załogi fakt, iż wspaniale wyposażony statek pozostaje przez dłuższy czas b e z rannych i chorych, a pierwszych, sprowadzanych pacjentów (żołnierzy koreańsko-chińskich, nie amerykańskich) umieszcza się nie w przygotowanych salach, lecz w najgorszych kajutach na dnie statku. Również nieprawdopodobna jest niezwykle szybka konsolidacja prawie całej (z zastanawiająco nielicznymi wyjątkami) załogi statku w opozycji do zbrodniczego kierownictwa. Początek opowiadania — rozmowa między marynarzami — świadczy, że skład osobowy załogi jest politycznie bardzo zróżnicowany i na ogół bardzo słabo wyrobiony. Świadomych komunistów jest zaledwie paru. I przy takiej sytuacji, w ciągu 13 zaledwie godzin (od 11 do 24) wyjaśnia się załodze sens istnienia statku, wszyscy stają się nadzwyczaj podatni na agitację komunistów, rodzi się i dojrzewa bunt, załoga opanowuje statek i postanawia przejść na stronę Koreańskiej Republiki Ludowej. Przy tak pomyślanym toku akcji każdy jej kolejny etap musi z konieczności następować zbyt szybko, aby można było zmiany załogi przedstawić dostatecznie głęboko. I to zbyt płytkie, uproszczone, deklaratywne ujmowanie ludzi i zdarzeń osłabia w wielu miejscach siłę oddziaływania książki.

SŁAW KRZEMIEŃ

*) „Ameryka szuka piechura". Wyd. MON, W-wa 1951

**) „Powrót kapitana Czapli". Wyd. MON, W-wa 1952

***) „Statek 1092". Wyd. MON, W-wa 1953.

LEONARD WALLICHT

„To co najważniejsze" *)

Taki tytuł nosi wydany niedawno w języku polskim zbiorek opowiadań radzieckiego autora Borysa Zubawina. Tytuł ten zapożyczony jest z pierwszego, najobszerniejszego utworu, jaki w nim zamieszczono.

Opowiadania ukazują ludzi radzieckich: ich świadomość i charakter, ich walkę o podniesienie dobrobytu w ojczyźnie oraz przeżycia podczas ostatniej wojny.

W utworze tytułowym Zubawin przedstawia w artystycznym kształcie tak ważny w socjalistycznym społeczeństwie problem ciągłego doskonalenia systemu pracy i ściśle z nim związaną sprawę wzrostu wydajności ludzkiego wysiłku. Klaudia Niewska — przodująca pracownica działu frezarek, popełniła w swym rozumowaniu dwa błędy: uważała mianowicie, że żadna z koleżanek nie osiągnie takich, jak ona wyników w pracy i że uzyskany przez nią procent normy, stanowi górną granicę ludzkich możliwości w dziedzinie obróbki produkowanych przez dział części. Podobnie myślały pozostałe pracownice. Dlatego Klaudia „spoczęła na laurach".

Tymczasem rzeczywistość przyniosła jej gorzkie rozczarowanie. Okazało się, że nie ma ludzi niezastąpionych i nie ma granic, których by nie mogły przezwyciężyć ludzki umysł i ludzkie ręce. Niedostrzegana przez Klaudię Wiera Artmanowa ulepsza metodę swej pracy i wezwawszy Niewską do współzawodnictwa, wyrabia więcej niż jej rywalka. Ale Klaudia jest ambitna. Przytłoczona faktami zmienia swój sąd o człowieku i jego zdolnościach: ustawia maszyny w pozycji łatwiejszej do obsługi i inicjuje pracę na dwóch frezarkach jednocześnie. Rodzi się szlachetny wyścig. Niewiara załogi działu we własne siły zostaje przełamana.

Opisany wyżej konflikt, — konflikt typowy dla radzieckiej rzeczywistości, nie wyczerpuje tematyki opowiadania. Jest ona znacznie szersza. Konflikt ów stanowi tylko najistotniejszy wyraz zmian, zaszłych w pracy działu obrabiarek od chwili, gdy stanowisko majstra objął tam Ławrentiew.

Ławrentiew nie tylko zauważył „zaskorupiałość" Klaudii i możliwości tkwiące w Wierze; dostrzegł również szereg innych czynników hamujących wzrost wydajności całego działu (wąskie kwalifikacje pracownic, niepełne wykorzystanie frezarek, niewłaściwe ustawienie maszyn w hali itp.). I właśnie troska i wysiłki Ławrentiewa nad podniesieniem wyników pracy podległego mu odcinka — tworzy ramowy temat omawianego opowiadania.

Pozostałe utwory, a znajdziemy ich w tomiku jeszcze dziesięć, są objętościowo znacznie krótsze od tytułowego. Obrazują one różne epizody z życia ludzi radzieckich w latach pokoju i wojny. W niemal każdym opowiadaniu umiał Zubawin nieraz na drobnym tylko przykładzie, ukazać jakąś cechę radzieckiego człowieka: w „Nataszy" poznajemy twórczą radość dziewczyny, z zapałem wznoszącej potężne budowle; w pięknym opowiadaniu „W hotelu leśnego miasta" spotykamy się z poczuciem odpowiedzialności całego kolektywu za los każdego powierzonego mu odcinka; w opowiadaniu „Na stalingradzkim zakręcie" — z odwagą decyzji dozorcy śluzy w obliczu niebezpieczeństwa; w „Święcie" — z siłą jaką po stracie syna na froncie daje radzieckiej matce świadomość konieczności tej ofiary; w utworze pt.: „Na szerokich rozłogach" — z uporem młodej absolwentki instytutu naukowego, nie cofającej się przed trudnościami obranego zawodu.

W opowiadaniu „Jadę do Ostaszkowa" widzimy ciężarną kobietę, która nie zważając na trudy podróży w czasie wojny, jedzie do rannego na froncie męża. Kobieta pragnie podzielić się z nim radością, że da życie dziecku. W drodze otrzymuje list, z którego wynika, że mąż nie chce, aby żona zobaczyła go w obecnym stanie — amputowano mu nogi. Kobieta, mimo, że była już niedaleko celu podróży, rozumiejąc chorego, bez słowa wraca do domu. Niewyszukany epizod z lat minionej wojny, prosty i wzruszający.

Omawiane utwory przepaja optymizm. Rodzi on zaufanie do ludzi, każe ich kochać — budzi afirmację życia Optymizm ten może najwyraźniej występuje w wyróżniającym się walorami artystycznymi opowiadaniu: „Gdzie jest dom chłopca" Trzech radzieckich żołnierzy, postępując z oddziałem za cofającym się z ich ojczyzny hitlerowskim najeźdźcą, spotyka ciągnących do swych domów uchodźców. Między powracającymi znajduje się kobieta z kilkunastoletnim synkiem. Kobieta, torturowana poprzednio przez hitlerowców, nie wytrzymuje trudów podróży i umiera. Pozostał chłopiec. Chłopiec nie ma dokąd pójść. Żołnierze są głęboko poruszeni dolą sieroty. Każdy z nich proponuje chłopcu zamieszkanie w swym domu: Jeden maluje uroki syberyjskiej tajgi, drugi opowiada o atrakcjach miasta marynarzy — Odessy, trzeci roztacza przed sierotą piękno życia nad Donem. Chłopiec nie wiele z tego rozumie — wszystkim podziękuje. Utwór kończy się chwilą, kiedy sierotę wraz z innymi uchodźcami zabiera w głąb kraju samochód, a każdy z żołnierzy żywi przekonanie, że chłopiec pojechał właśnie do jego domu.

Tomik Zubawina, pogodny, przyjazny człowiekowi, o niewątpliwych walorach artystycznych, przeważnej części zamieszczonych w nim utworów, poprawnie przełożony — zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

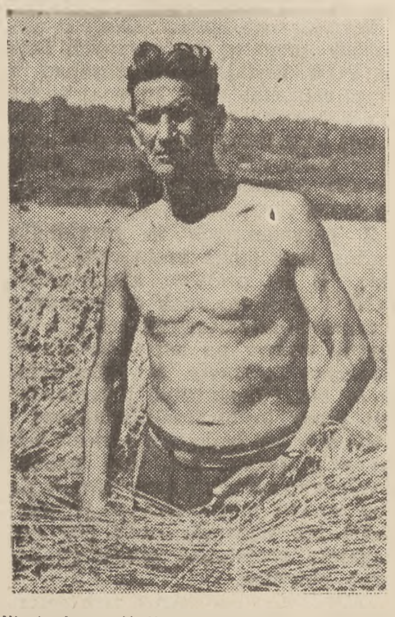
Szkoda tylko, że wydawnictwo nie poprzedziło zbiorku wstępem, informującym czytelnika o autorze opowiadań i o jego twórczości.

LEONARD WALLICHT

*) Borys Zubawin: „To, co najważniejsze", „Iskry" 1953; s. 168; tłumaczył z języka rosyjskiego Kazimierz Krukowski.

JERZY K. MACIEJEWSKI

Zespół Krajewskiego



Władysław Hajtman, członek zespołu Nacpolsk. Jest on instruktorem w używaniu mechanicznej zacieraczki dla tynków — pomysłu Krajewskiego

WYSIEDLIŚMY na szerokiej, polnej drodze, gubiącej się w ciemnym pasie lasu, który w rozwarte ramiona ujmował tę szeroką połać pól PGR Nacpolsk. Opodal zagłębienia, otoczonego trzciną i połyskującego matową taflą wody, uwijało się przy ustawianiu snopów kilkunastu spalonych na brąz ludzi.

— Ten w sportowym dressie barwy bordo, to Michał Krajewski — poinformował mnie dyrektor zespołu Nacpolsk, Henryk Dutkowski.

Krajewski — inicjator trójek murarskich, które zapoczątkowały ruch zespołowego budownictwa, człowiek, który z murarza zaawansował na poważne stanowisko w Ministerstwie Budownictwa Przemysłowego, autor kilku książek...

— Krajewski w tym otoczeniu? Przecież to ani mury Mariensztatu, ani pokaz działania mechanicznej tynkownicy na Muranowie, czy stachanowskich metod pracy na budowach Nowej Huty!...

— Jak traf'liście do Nacpolska? — zapytuję Krajewskiego.

— Kiedy związki zawodowe zainicjowały akcję pomocy miasta przy żniwach, u nas w ministerstwie była mowa, aby z każdego departamentu ktoś poszedł. Ale byłaby to luźna, nie powiązana z sobą grupa. Nasz zespół przeprowadza instruktaż na budowach w kraju i inspekcję. Ponieważ tak się akurat zbiegło, że grupa miała za sobą świeżo zakończoną serię inspekcji i instruktażu, na zwołanym zebraniu postanowiliśmy prosić o zezwolenie na tygodniowy wyjazd na roboty polne. Byliśmy zdania, że wspólnymi siłami wykonamy więcej. Propozycja nasza została przyjęta — i wyjechaliśmy własnym samochodem ciężarowym, który również wziął czynny udział w akcji żniwnej...

Mamy tu niełatwe zadanie — uśmiecha się Krajewski — bo Nacpolsk jest dobrym PGR-em. Normy tu wyciągnięte, ludzie dobrze zaprawieni do pracy w polu. No, a my... ludzie od kielni, od tynkownicy. W PGR oczywiście dobrze o tym wiedzą, jaki zespół do nich przyjechał i oczekują na wyniki. Obawiają się przy tym, czy ludzie z miasta nie sprawią im kłopotu. My jednak zaraz pierwszego dnia zrobiliśmy 167 procent normy, a drugiego PGR uznał za możliwe zabrać nam swego instruktora — brygadzistę Krzemińskiego. Kiedy szliśmy skopować owies, wyznaczono nam zadanie dość ostrożnie i Krzemiński ze śmiechem interweniował:

— Za mało im dajecie! Tego im starczy najwyżej na trzy godziny!

I nie omylił się...

Obiad dobiega końca.

— Ano, pora na nas, chłopcy — mówi po chwili Krajewski.

Zespół opuszcza barak.

*

To nie Muranów ani Nacpolsk. To gabinet dyrektora Krajewskiego w gmachu Ministerstwa na Kruczej. Głęboka opalenizna już częściowo zniknęła z jego ruchliwej twarzy.

— Pytacie o wyniki naszego pobytu w PGR-ze? Ustawiliśmy stogi na przeszło 90 hektarach, 1 stóg



Grupta Krajewskiego odpoczywa w czasie obiadowej przerwy w żniwnej pracy

złożony i jeden przykryty. W sumie przepracowaliśmy 775 i pół godzin. Dyrekcja zespołu Nacpolsk wystosowała do Ministerstwa list z podziękowaniem za naszą pracę.

— Przed odjazdem — ciągnie Krajewski — urządzono zebranie pożegnalne dla nas i ludzi z PGR. Zbliżyliśmy się wtedy do siebie jeszcze bardziej. Obiecaliśmy utrzymywać z sobą kontakt. Obiecaliśmy ludziom z PGR przygotować parę odczytów o nowoczesnych metodach budownictwa, a gdy będą potrzebowali naszej czynnej pomocy — wykorzystamy w tym celu pierwszy lepszy wolny od pracy dzień. Zredagowaliśmy dla nich gazetkę ścienną i obiecaliśmy przywieźć im swoje gazetki, by widzieli, jak się je robi. Oni ze swej strony zapowiedzieli przysłanie do nas grupy swoich przodowników pracy, by zapoznali się ze stachanowskimi metodami pracy w budownictwie...

— Widzę z tego — wtrąciłem — że stosunki z robotnikami z PGR układały się bardzo dobrze.

— Więcej: wzajemny kontakt był ogromnie serdeczny. Pracownicy PGR wypytywali nas, w jakich warunkach odbudowuje się Warszawa, jak powstaje Nowa Huta, jak wygląda huta im. Bieruta w Częstochowie? Ze swej strony opowiadali nam, w jakich warunkach pracowali przed wojną i jak żyją obecnie. O nas mówili: „takich jak wy robotników, to my jeszcze nie widzieli..."

— W samej rzeczy — ciągnie Krajewski — zespół to niezwykły. Weźmy na przykład takiego Immerglücka. Przed wojną był pomocnikiem murarskim na budowie. Podczas wojny pracował przez 3 lata w ZSRR jako drwal. Obecnie jest nie tylko instruktorem do mechanicznego tynkowania, ale i instruktorem murarstwa zespołowego. Albo Karol Obrok... Jest on synem murarza kopalnianego z Jaworzna. Od wielu lat pracuje na terenie Warszawy. Jego cegły tkwią w wielu monumentalnych budowlach stolicy, w niejednym osiedlu warszawskim. Był jednym z pierwszych, którzy w r. 1948 przystąpili do roboty zespołowej na Mariensztacie. Złote ręce ma ten człowiek: jest i murarzem i tynkarzem, i zbrojarzem. Dokształca się. Obłożył się książkami, uparł się, że zostanie inżynierem. Już obecnie wyrósł na mego zastępcę technicznego. Należy do Komisji Budowlanej przy Dzielnicowej Radzie Narodowej na Żoliborzu. — A ów „specjalista" od powróseł, Gawroński?.. Jest mechanikiem, operatorem maszyn tynkarskich, pomp do zapraw itp. Czy przed wojną, wegetując na swej wiosce w Sochaczewskiem, mógł marzyć o obsługiwaniu nowoczesnych maszyn w budownictwie? Czy mógł się spodziewać, że będzie uczył operatora, jak się wykręca węże pod ciśnieniem? Że będzie współpracował w budowie huty im. Bieruta w Częstochowie? Albo Władysław Hajtman...

Kiedy padło to nazwisko, uprzytomniłem sobie ściernisko w Nacpolsku i dźwigającego snopy wysokiego, muskularnego, spalonego



Krajewski na żniwach w PGR

„na Murzyna" starszego mężczyznę o pooranej fałdami twarzy. To był Hajtman — instruktor od zacieraczki mechanicznej, pomysłu właśnie Krajewskiego.

Bo Krajewski jest także w tej dziedzinie racjonalizatorem. O ile dawniej najlepszy murarz zacierał 60 do 80 metrów kwadratowych dziennie, to teraz przy pomocy tej zacieraczki robi to w ciągu godziny!

Zacieraczka mechaniczna wyszła już z fazy eksperymentu. Zdała egzamin. Obecnie wyprodukowano pierwszą partię 300 sztuk. Rozejdą się na budowy całej Polski. Immerglück, Hajtman, Jan Chmielowiec — jeden z najsłynniejszych murarzy w kraju — będą uczyli swych towarzyszy użycia tej zacieraczki. Aby prędzej i więcej mieszkań oddano do użytku ludziom pracy.

Krajewski jednak niechętnie o tym mówi.

— Mam 49 lat — powiada — a sam przy tych ludziach rosnę. Wyszli oni z bezimiennej dawniej masy robotniczej, a dziś mogą pozostawać na bardzo poważnych, samodzielnych stanowiskach...

Do gabinetu dyrektora raz po raz uchylają się drzwi. Dzwoni telefon. Czas kończyć wywiad. Jeszcze jedno pytanie:

— Niedawno ukazała się książka „Miejsce stałego zamieszkania", która wzbudziła ogólne zainteresowanie czytelników.

— A tak — uśmiecha się Krajewski — wyszły także nakładem „Naszej Księgarni" „Transparenty i sekundy". Ostatnio oddałem do druku maszynopis „W ślad za przymierzem" — rzecz również oparta na motywach autobiograficznych, na wspomnieniach wojennych. Obecnie pracuję nad czwartą częścią. Nawiązuję w niej do powiedzonka „jakoś to będzie" w przeciwstawieniu do czasów dzisiejszych, kiedy ludzie, wziąwszy się do pracy, posługując się maszynami i nowymi metodami pracy sami stanowią o swym losie...

Jerzy K. Maciejewski

WOJCIECH DRYGAS

KŁOPOTY ZOOTECHNIKA

Między zabudowania spółdzielni produkcyjnej wpadł motocyklista w popielatych bryczesach i oficerkach, zrobił rundę wokół obszernego podwórka i zatrzymał się przed stodołą.

— Hej tam, obywatele! — starał się przekrzyczeć warkot młocarni. — Gdzie pracuje tu u was taka młoda dziewczyna... blondynka, no, taka jak ja, trochę ciemniejsza...

— Ruda? — zakpiono.

— Nie ruda — blondynka... ładna dziewczyna...

Z wysokiego pomostu młocarni wyjrzało kilka głów; twarze wyrażały wesołość.

— U nas wszystkie ładne i blondynki. W konkury przyjeżdżasz, chłopcze, a nie znasz jej adresu?

Motocyklista żachnął się z lekka.

— Ja w sprawie ściśle służbowej — odparł zmieszany. — Zootechnik z POM-u jestem. Binczewski. Była wczoraj u nas młoda dziewczyna z waszej spółdzielni. Taka blondynka i diabelnie wygadana. Wykłócała się z naszym politycznym o swoje krowy, że niby takie wspaniałe, a nie zakwalifikowane na wystawę rolniczą. To mnie wydelegowali, żebym obejrzał...

— Tę blondynkę?

— Nie blondynkę — krowy... — odparł strapiony.

— To po co pytasz o blondynkę? Wal prosto do stodoły, o, tam!

Motocyklista wbił nogą bieg i pognał we wskazanym kierunku. Od razu ją poznał, była to ta sama dziewczyna, która narobiła w POM-ie tyle szumu. Siedziała na małym zydelku i nacierała szorstką szmatą krowie pęciny. Kiedy się pochylała, słońce igrało z puchem wijącym się na jej mocnym karku. Była naprawdę ładna. Młody zootechnik chrząknął (a może westchnął?). Odwróciła głowę.

— Nareszcie!

— Co nareszcie? — uśmiechnął się blado.

— Nareszcie kolega przyjechał. A tej krowie to coś w nogi wlazło...

— W nogi wlazło? No, no...

— Już się czuje lepiej.

— Już się czuje lepiej — zawtórował. — Bardzo dobrze, bardzo dobrze... — a po chwili: — To ta na wystawę?

— Na wystawę tamte dwie.

— Tamte dwie? Zobaczymy...

Obejrzał ze znawstwem krowy, ściągnął brwi:

— Proszę o kontrolkę mleczności...

Z uśmiechem, który połyskiwał w białych zębach, podała mu gruby zeszyt. Teraz była jeszcze ładniejsza. Udał, że go to mało obchodzi. Spuścił oczy i zagłębił nos w wysokich kolumienkach cyfr.

— No tak — podjął po chwili. — Trzy tysiące sześćset litrów i trzy przecinek dziewięć procent tłuszczu. Ale — tu podniósł wzrok — to nie okazy. Spółdzielcy z Jackowic wystawiają krowy, co dają przeciętnie po cztery tysiące trzysta litrów rocznie! A jaka zawartość tłuszczu w tym mleku, pytacie? (Wcale nie pytała!) Cztery przecinek dwa! — rzucił triumfalnie.

Wbiła w niego przestraszone oczy. Zauważył, że są ogromne i przedziwnie błękitne.

— Poczekajcie do przyszłego roku — poczerwieniał nagle. — Musicie podnieść ich mleczność. Teraz nie ma się z czym pchać!

— Dlaczego?

— Dlaczego, dlaczego... — zamachał rękoma. — Dlatego, że nie można. Jest nieźle, ale na wystawę za mało!

— Dbam o nie — zagryzła wargi. — Popatrzcie jakie one ładne...

Zootechnikowi zrobiło się nieprzyjemnie: jeszcze chwila i... skapituluje. Sam sobie się dziwił: on, Binczewski, który każdą sprawę służbową załatwiał wprawdzie bez zarzutu, ale z oschłym praktycyzmem, teraz czuł, jak skrzypi i trzeszczy pod nim stara maszyneria rutyny! A swoją drogą któż to jest ta dziewczyna? Ładna i zgrabna — to raz, w tym białym kitlu urocza — to dwa, a trzy? Politycznie co to jest? Zero polityczne! Przydałby się gęsi jakiś kurs ideologiczny, żeby rozszerzyła swój światopogląd i oceniała tak bystro, jak to on czyni, każdą sprawę powiatu, oceniała — rzecz jasna — na bazie sytuacji międzynarodowej. He, he... czuł się prawie, jak bohater, a przysiągłby, że przed chwilą tracił głowę dla dziewczyny, która widzi tylko swoje krowy. Ale kto powiedział, że on stracił głowę? Proszę: była na swoim zwykłym miejscu, solidnie osadzona.

Ocknął się z zamyślenia i zerknął na dziewczynę z ukosa:

— Cóż to? Eee, zaraz płaczecie koleżanko, albo też, jak wczoraj, z awanturami... Po kiego licha to wszystko? Lepiej dawajcie krowom więcej wysokobiałkowych pasz!

— Dawałam.... — pociągnęła nosem.

— Według tabeli?

— Według tabeli!

— No i co?

— No i nic... podniosło się raptem o głupich sześćset litrów...

— Sześćset litrów? — zdziwił się. — A cóż wy myślicie, że krowie wymię to kran z wodą, czy jak? Cudów nie ma!..

Otarła oczy wierzchem dłoni. Burza złotych kędziorów opadła jej na czoło.

— Więc ich na wystawę nie weźmiecie?

— Jasne, że nie! Bo jakbym ja wyglądał? Jak? Binczewski — powiedzieliby — za grosz czujności nie ma. Nieuświadomiony politycznie i fachowiec z niego, jak z koziej brody trąba...

Błękitnooka dziewczyna nie ustępowała:

— Weźcie przynajmniej na wystawę te cielęta. Czy nie są śliczne?

Zajrzał do boksu i skrzywił się:

— Śliczne, śliczne... — przedrzeźniał. — Każde cielę jest śliczne, bo małe i głupie. A lubiatowscy spółdzielcy mają cielęta z zimnego wychowu, o, takie bestie sklepione w piersiach! Jak te wrota!

— Weźcie te cielęta — prosiła z naciskiem.

Pokręcił głową.

— Nie weźmiecie?

— Żadnych protekcji! Wierzcie mi, 3 lata wkuwałem w technikum, żeby dać wam dzisiaj słuszną ocenę. W tym roku niestety, przodownicą na wystawie nie zostaniecie.

Kiedy w drodze powrotnej mijał stodołę, zatrzymały go znajome głosy z młocarni:

— No i jak tam, zootechnik, blondynkę złapałeś?

— Złapałem! — pomachał im ręką. — Zdaje się, że ona bardzo lubi krowy, no, to jej rzecz, ale żeby zaraz komuś od baranów nawymyślać... I za co? Za komplement!

W dwa tygodnie później zootechnik Binczewski zwiedzał wystawę rolniczą w Łowiczu. Nie byłoby w tym fakcie nic osobliwego, gdyby nie pewien szczegół, który od nowa przypomniał mu o istnieniu błękitnookiej dziewczyny i jej niezakwalifikowanych krów. A było to tak: przechadza się Binczewski dostojnie po rozległych pawilonach wystawy, gdy naraz — nie, to niemożliwe, przeciera oczy i raz jeszcze wybałusza do bólu — z wielkiego portretu uśmiecha się o n a! Zootechnik stanął jak wryty: jakto? Ta gąska w jednym szeregu z portretami znakomitych przodowników w rolnictwie? Jakim prawem?

Odwrócił się na pięcie i pobiegł z pretensjami do dyrektora POM. Zaczął od oświadczenia, iż nigdy, w całym przebiegu swego zawodu, od pierwszych chwil, gdy oddał się studiom zootechnicznym, nie przystępował do żadnej sprawy z tak głębokim poczuciem odpowiedzialności, jak właśnie do tej powierzonej mu oceny pogłowia, typowanego na wystawę. Tymczasem dzieją się rzeczy skandaliczne! Tak, skandaliczne! On, Binczewski opiniuje i typuje, ktoś inny — Binczewski nie wie z całą pewnością kto, lecz się domyśla — przekreśla jego opinię jednym pociągnięciem pióra. Nie można tego nazwać inaczej, jak wstrętnym kopaniem dołków. Gdyby Binczewski nie miał przekonania, równającego się pewności, że jest świetnym fachowcem, w żadnym wypadku nie ośmielałby się niepokoić dyrektora swymi pretensjami. Ale że jest o tym święcie przekonany, niepokoi go i domaga się usunięcia dziewczyny z pawilonu przodowników — odstawienia jej ad acta!

Dyrektor, starszy już człowiek, słuchał tej całej przemowy z miną nieco oszołomioną. Oszołomienie jego zdawało się płynąć z treści słyszanych słów — częściowo wynikać z szybkości i gwałtowności wypowiedzi.

— Zobowiążecie mnie, kolego, bardzo — wtrącił w ten potok wymowy — jeśli dowiem się zaraz, o jaką dziewczynę chodzi?

— O jaką? A o tę z pawilonu „C".

— Z milicji porządkowej?

— Nie z żadnej milicji — z portretu!

— Z portretu?

— Trzeba zdjąć ją i to szybko, żeby nie było skandalu!

Dyrektor w dalszym ciągu nic nie rozumiał:

— Na portret wlazła? Pijana jakaś?

— Wcale nie wlazła... po prostu zrobili ją przez protekcję przodownicą od krów i umieścili jej portret na wystawie. Skandal!

W drodze do pawilonu „C" dyrektor wypytywał go o szczegóły:

— Jak się ona nazywa?

— A bo ja wiem? To taka blondynka... nawet ładna, przypominacie sobie dyrektorze, była u nas przed dwoma tygodniami w POM i wykłócała się z politycznym o swoje krowy...

Dyrektor nic sobie nie przypominał. Weszli do pawilonu. Z obu jego stron przykuwały uwagę olbrzymich rozmiarów portrety: czołowych traktorzystów, bohaterów wysokich urodzajów, przodujących hodowców, dojarek...

— Która to?

— A tamta!

— Ta trzecia z prawej strony?

— Ta trzecia!

Dyrektor przyjrzał się Binczewskiemu podejrzliwie.

— Ejże, balona ze mnie robicie? — oburzył się. — Przecież to jest Maria Walasik...

— Maria Walasik?

Podbiegł do portretu i gorączkowo przebiegał wzrokiem niewielki u spodu napis. Tak, to była rzeczywiście ona: „Maria Walasik — młodzieżowa bojowniczka o nową wieś polską — w pięciu gromadach pomogła chłopom zorganizować spółdzielnie produkcyjne, służąc im dobrą radą i doświadczeniem".

— Oj, Binczewski, Binczewski! — usłyszał za plecami głos dyrektora. — fachowiec z was niezły, ale politycznie... no, no! Jakieś tam krowy przesłoniły wam człowieka?

Wojciech Drygas

MACIEJ GRYFIN

Spółdzielca Franciszek Cioroch mówi o pomocy dla Korei

Niedawno w prasie codziennej ukazał się list członka spółdzielni produkcyjnej Tarnowo w powiecie obornickim, Franciszka Ciorocha. Cioroch powiadamia w tym liście, że zaoszczędzone z pracy w spółdzielni 15.000 zł przekazuje na pomoc dla Korei.

Korespondent terenowy „Wsi" odwiedziwszy Ciorocha, przeprowadził z nim krótką rozmowę. Już na wstępie przerwał ją listonosz wiejski. Do stosu listów, jakie Cioroch już otrzymał, dołożył kilka nowych. Były to listy ze wszystkich stron Polski.

— Ludzie zwracają się do mnie z pytaniami, co było powodem przeznaczenia przeze mnie swych oszczędności na pomoc dla Korei — mówił Cioroch. — Cóż im mogę odpowiedzieć? **Przecież Korei trzeba pomóc!**

— Czytelnicy „Wsi" chcieliby poznać kilka szczegółów z Waszego życia — wtrącił korespondent.

— Nie było ono radosne. W rodzinnej wsi kieleckiej nie miałem co robić na kawałku ojcowizny. Trzy chłopskie rodziny składały się, abym od dziedzica Lasockiego w Świdnie mógł kupić trzy hektary ziemi. Miał mi pomóc Bank Rolny, wtedy jednak banki służyły obszarnikom, a nie chłopu. Dziedzic pieniądze wziął, a później chciał mnie wypędzić z mojej ziemi. Siedemnaście lat procesował się ze mną. Na rozprawy do Lublina chodziłem 39 kilometrów pieszo. Taka była dla mnie przedwojenna „reforma rolna" Nawet ziemię nabytą od obszarnika mogłem wtenczas utracić. Bo po jego stronie stało wtenczas wszystko: sądy, administracja, policja. W obronie chłopa nikt wówczas nie stanął. Jeśli nie mógł on obronić się sam, ginął lub szedł szukać chleba po świecie.

W 1939 roku poszedłem na wojnę. Gdy wróciłem z niewoli, zacząłem się rozglądać po gromadzie. Z przedwojennych wieców znałem wielu robotników-komunistów. Wstąpiłem z nimi do Gwardii Ludowej. Organizowaliśmy Komitet Gminny PPR. Raz do domu mego wtargnęła bojówka NSZ-owska. Bandyci zdemolowali mi mieszkanie, odczytali wyrok śmierci i wyprowadzili przed stodołę. Synek organisty w oficerkach i niemieckim mundurze, wyświadczył mi przysługę: „Wybieraj, chamie: zawiązać ci oczy, czy nie? W bojówce z[illegible]uczyłem kilku kułackich synów. „Po co chcecie zawiązywać mi oczy — powiedziałem — niech sobie chociaż popatrzę, jak chłopi mordują chłopów". Wśród bandy nastąpił rozłam. Ocalałem cudem...

Gdy weszła Armia Czerwona, rozparcelowaliśmy w Gminie Godów siedem obszarniczych folwarków. Wkrótce potem nasłani przez PSL bandyci obrabowali mnie doszczętnie. W ten sposób mścili się za swych wydziedziczonych z majątków sojuszników - dziedziców. Wystarczyło wypowiedzieć się za władzą ludową, aby ściągnąć na siebie ich nienawiść i zemstę. Wiele przelali oni wtedy chłopskiej krwi...

W roku 1946 osiedliłem się w Tarnowie, otrzymawszy tam 8-hektarowe gospodarstwo. W grudniu 1949 roku w Tarnowie powstała spółdzielnia produkcyjna. Wstąpiło do niej 22 członków. Dzisiaj jest 52. Na początku nie mieliśmy ani jednej sztuki zespołowego bydła i trzody chlewnej. Dzisiaj w pobudowanych przy pomocy Państwa nowych budynkach mamy 96 sztuk bydła, 147 sztuk świń, 32 konie, posiadamy własny samochód ciężarowy.

Rosła spółdzielnia — rósł dobrobyt każdego z nas. Dużo zapracowałem w spółdzielni, poza tym w roku ubiegłym za odstawiane od hodowanych na działce przyzagrodowej mleko od dwóch krów, otrzymywałem 400 — 500 złotych miesięcznie; moja własna pasieka przyniosła mi 3.000 zł dochodu. Zacząłem się interesować techniką, motoryzacją. Z myślą o kupnie samochodu odłożyłem sobie na książeczce PKO 15 tysięcy złotych.

W partii nauczyłem się widzieć świat — poza własnym podwórkiem. Całym sercem byłem z mężnym narodem koreańskim, gdy toczył bohaterską walkę z najazdem amerykańskich podpalaczy. Podziwiałem bohaterstwo ludu koreańskiego, jego hart, jego niezachwianą wiarę, że narody miłujące pokój zwyciężą najeźdźcę, że staną w obronie napadniętej Korei przed podłymi podpalaczami świata.

Przyszło upragnione zawarcie rozejmu. Nasz ludowy rząd podjął uchwałę o pomocy dla Korei. Pomyślałem wtedy, że kupno samochodu dla mojej osobistej wygody byłoby obecnie samolubstwem. Wiem, ile otuchy daje w biedzie serdeczna dłoń przyjaciela: gdy mnie obrabowali rodzimi faszyści, mój sąsiad —



Franciszek Cioroch bada świeżo wymłócone ziarno z tegorocznych zbiorów

chłop małorolny przyniósł mi używaną koszulę. — „Masz, chodź" — powiedział po prostu. — Tej pomocy nie zapomnę do końca życia. Moim gorącym pragnieniem jest, aby uczucia, które wtedy zbudziły się w moim sercu, powstały dziś w sercu wdowy — Koreanki i jej małych dzieci, którzy doznają pomocy od nas: od przyjaznego im całą duszą polskiego ludu.

Naród koreański walczył na swej ojczystej ziemi nie tylko o swoją wolność; walczył on również o wolność wszystkich krajów, którym zagraża imperializm. A więc i za Polskę: za nasze miasta, za nasze wsie, za nasze odbudowane na niedawnych pogorzeliskach domy. Czyż możemy mu dziś nie pomóc odbudować miast i wsi, zniszczonych w Korei przez wspólnego wroga?..

Gdy nasi koreańscy bracia odparli bandycki najazd imperialistów, zdecydowałem się im pomoc w odbudowie. Przeznaczyłem na to swoje oszczędności. W spółdzielni nie zbywa mi na niczym; jestem spokojny o swoją przyszłość.

*

Zaczęliśmy przeglądać nadsyłane do Ciorocha listy. Szeregowiec W. P. Bolesław Kapusta pisze doń: „Wasza decyzja przeznaczenia swych oszczędności na pomoc dla Korei świadczy, że prawy obywatel Polski Ludowej pragnie nie tylko własnego szczęścia, lecz i szczęścia wszystkich ludzi pracy, którzy walczą o pokój na całym świecie. Dajecie nam piękny przykład patriotyzmu i internacjonalizmu.

„Przeczytałem Wasz list w „Trybunie Ludu" kilka razy, aby głęboko wpoić do młodego serca Wasz przykład" — pisze ZMP-owiec z miasteczka Zaręby Kościelne pow. Ostrów Mazowiecki.

Prości ludzie z różnych zakątków kraju piszą z serdecznym uznaniem do spółdzielcy Ciorocha. Głęboki internacjonalizm i umiłowanie Ojczyzny przebija z tych listów.

Są i inne listy. Anonimowy łotr po długim i mętnym wywodzie, pisze, że nie nalepia na kopercie znaczka, bo Cioroch ma dosyć pieniędzy, aby list wykupić.

— Z tego listu czuć na kilometr obszarnikiem — stwierdził spokojnie Cioroch. — Jedno tylko zgadł autor anonimu: wykupuję te listy. Bo uczą mnie one, że trzeba być czujnym, że walka z wrogami ludu trwa u nas nadal...

Szybko mijała południowa przerwa. Franciszek Cioroch sięgnął po zegarek.

— Musimy, drodzy towarzysze, kończyć naszą rozmowę. Za 5 minut rozpoczynamy młockę!

Ruszyliśmy ku spółdzielczym zabudowaniom. Traktorzysta zapuścił traktor. Zahuczała młocarnia. Przy workach ze zbożem stanął Cioroch. Tarnowo odwozi zboże dla państwa. Szeroko, radośnie, wyciągnął Cioroch rękę do zajeżdżającego po nowy ładunek spółdzielczego szofera...

Maciej Gryfin



Rys. H. Smitkiewicz

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Korzec „odgrywa sztuczkę...“*)

KIEROWNIK świetlicy w Kiliankach ob. Sukmanko napisał bardzo pomysłową sztuczkę teatralną. Chodziło w niej o to, że pracujący chłopi demaskują zgraną klikę w GRN i GS, a następnie, po wielu tarapatach zakładają spółdzielnię produkcyjną.

Lecz któż w Kiliankach mógłby sztuczkę Sukmanki odegrać? Sukmanko nie zrażał się trudnościami, dość wspomnieć, że udało mu się przeczytać sztuczkę na specjalnym posiedzeniu Prezydium GRN. Były tam zresztą wszystkie znakomitości gminy Kilianki. Skutek — nadzwyczajny!

Referent kulturalno - oświatowy zgłosił wniosek nagły, aby sztuczkę Sukmanki odegrali zebrani, przy czym każdy niejako siebie.

Wniosek przyjęto jednogłośnie z przyczyn, które wyszły na jaw dopiero wieczorem, kiedy to kierownik GS ob. Korzonek zauważył, nalewając sprawiedliwie każdemu po szklaneczce płynu, do złudzenia przypominającego wodę.

— Trza to grać, choć głupie, żeby się ludziom zdawało, że mamy czyste ręce. To będzie wielka gra!

Brakowało tylko jeszcze takiego, co by zagrał średniorolnego chłopa.

— Też sobie Sukmanko niepotrzebnie chłopa do sztuki wstawił — oburzał się referent podatkowy ob. Stołeczek. — Nie mogło się to bez niego obejść?

Sprawa skomplikowała się. Nikt z GRN ani z GS roli tej odegrać nie chciał, sołtysi w gminie Kilianki — sami małorolni. I kto wie, czy chłopi z Kilianek oglądaliby dzieło ob. Sukmanki, gdyby nie pomysłowość Korzonka. On to bowiem zaproponował Pawła Korca na aktora. Było to jedyne możliwe wyjście, choć również najeżone trudnościami.

— Sztuczkę odgrywać — coście na głowy poupadali? — bronił się Korzec. — Co to świń nie odstawiłem, podatku regularnie nie płacę?

I znowu sprawa utknęłaby na martwym punkcie, gdyby nie referent podatkowy ob Stołeczek.

— Zróbta coś, Korzec, na sławę naszej gminy. Ze skupu się co nieco za ten patriotyzm zdejmie, z podatku odpisze.

— No jak tak powiadacie, to wlezę na scenę dla ojczyzny. Ale ze skupu to mi nie zdejmujcie, bo ceny państwowe dobre. A co się będzie odgrywać?

Z treścią sztuki zapoznał Korca sam przewodniczący GRN ob. Masełko.

I zaczęło się. Cała ludność Kilianek zleciała się do świetlicy na premierę. Sztukę przerywały raz po raz gęste oklaski, z sali nieustannie pokrzykiwano pod adresem aktorów. Może i dlatego, że aktorzy zapominali chwilami o potężnym talencie Sukmanki i rzeczywiście grali samych siebie.

Sklepowy ob. Migała miał mówić w pierwszym akcie o 3 wiaderkach, które sprzedał na czarnym rynku, powiedział jednak o 23, co wywołało oklaski i mnóstwo okolicznościowych komentarzy.

— A to szubrawiec!

— Na scenie to umie rachować, a w sklepie to zna tylko jedno: „nie ma, towar wyjechał po śledzie, nie wiadomo, kiedy przyjedzie!“

Korzonkowi wyrwało się jeszcze lepiej. Należało w pewnym momencie zastanowić się nad nową kombinacją dochodową i powiedzieć:

Martwić się czego doprawdy nie mamy:
Nadeszły kretony — na lewo sprzedamy!

A powiedział niespodziewanie:

Mieliśmy kretony już ich nie mamy.

Sikorkowa, która siedziała w pierwszym rzędzie, rozdarła się na całą widownię:

— A to drań, latem w gorącej wełnie przez takiego latamy, doprosić się o perkal nie można.

Rozległy się brawa, przedstawienie potoczyło się dalej w coraz bardziej napiętej atmosferze.

Ta zapewne atmosfera sprawiła, że nawet opanowany Stołeczek zmienił tekst. Zamiast wydeklamować:

Zaglądam i biegam od chatki do chatki,
Pukam i pytam — a jak tam podatki?

rypnął niespodziewanie:

Posyłam nakaz za nakazem gładki,
Zciągnąłem w 200 procentach podatki.

— Ze mnieś, draniu, za dużo ściągnął — pienił się średniorolny Powała na widowni.

— Moja niepotrzebnie sprzedana świnka ci się kłania!

Prawdziwą jednak sensację wywołał Paweł Korzec. Ledwie się tylko pojawił na scenie i podszedł do stolika, przy którym wypadało mu podpisać statut spółdzielni produkcyjnej, padł z sali okrzyk:

— Otumanili Pawła na amen. Diablu duszę zaraz sprzeda! — piszczał kułak Bączek. — Gdzieś podział gospodarski honor?

Sala zamarła. Powstała cisza tak straszliwa, że słychać było gorączkowy szept Sukmanki: Rany Boga, a co ten nowego do sztuki mi wstawi? A i ludzie, zwłaszcza średniacy poczęli zapytywać: — podpisze czy nie podpisze?

Korzec stanął twarzą do widowni, rozkraczył się i wrzasnął na całe gardło:

— Ty się, Bączek' mojego honoru nie czepiaj; bośmy razem nie kradli, tylko ty sam, a statutu nie podpiszę.

Brawa pomieszały się z gwizdami, kurtyna gwałtownie spadła. Za kulisami odbyła się narada aktorów.

— Też mi się, cholera, z tym kretonem wyrwało — złościł się Korzonek. — A swoją drogą guzik Sikorkowa zobaczy, nie perkal.

— Co się, Felek, martwisz? — uspokajał go Masełko. — Cała draka wyglądała samokrytycznie, to dobrze nam zrobi u ludzi. Tylko Korzec, parszywa owca, psuje nam robotę.

Średniak wszystkiego uważnie wysłuchał, obiecał statut podpisać, ale jak co do czego przyszło, znowu stanął dęba W Odrzykoniach zespół aż do wystąpienia Korca robił furorę. Aktorzy sypali przykładami nadużyć niczym z rogu obfitości, przy czym ani jedno przestępstwo się nie powtarzało.

Korzec już brał się do podpisywania, miał już nawet pióro w ręku, kiedy mu nagle niepokój w głowie zaświtał:

— A z podatku odpiszeta? — zwrócił się niespodziewanie do Stołeczka. W Salinach Dużych oświadczył ze sceny:

— Jutro gramy na Bugaju, przyjdźta ludzie, zobaczycie com postanowił. Niedaleko przecie.

Na Bugaju ludzie nie mieścili się w świetlicy. Drugie tyle stanęło przed budynkiem. Korzec statut podpisał, za co zebrał rzęsiste oklaski od małorolnych. Od tej chwili średniak zdecydowanie wysunął się na czoło zespołu aktorskiego. Grał coraz bardziej porywająco, a demaskował klikę tak energicznie, że ludzie piszczeli z uciechy.

Kiedy zespół wypłynął na szersze wody powiatu i województwa, zbierał oklaski z dala od macierzystej gromady. Kilianki przechodziły prawdziwą rewolucję. Sikorkowa wraz z innymi członkiniami Koła Gospodyń znalazła wielki, starannie ukryty magazyn perkalu, założony przez ob. Korzonka. Wyszły na jaw nadużycia Stołeczka, dobrano się do skóry Masełce. Powstał Komitet Założycielski, który szybko doprowadził do założenia spółdzielni produkcyjnej. Korcowa wniosła swoje 3 ha; zgłosił się zaraz i Paweł ze swoimi czterema. Odpowiedź przewodniczącego — nie i basta. A Sikorkowa dodała:

— Podpisałeś sto razy statut na scenie, toś się przyzwyczaił. Wszystko byś teraz podpisywał. Tu potrza wyższej świadomości. Za dwuchsetnym razem cię przyjmiemy.

Jeszcze tylko wypada wyjaśnić, dlaczego jednak Korzec został członkiem kolektywu Zmontował nowy zespół, wciągnął na scenę Powałę, Sirkową, rodzonej żonie też nie podarował.

Jubileuszowe, dwuchsetne przedstawienie odbyło się w Kiliankach. Wzruszony Korzec podpisał na scenie prawdziwy statut. Wyprostował się i zapytał:

— A Bączek czemu gęby nie drze? Nie ma go tu?

Z widowni odkrzyknięto, że kułak nie bywa już, od dawna w świetlicy.

— To dobra, spuszczać kurtynę.

Wiesław Jażdżyński

*) Z tomiku wesołych opowiadań przygotowanego do druku.

Wśród korespondencji

WŚRÓD korespondencji znajdujemy wiele sygnałów złej pracy kulturalnej i świetlicowej we wsiach i PGR-ach woj. olsztyńskiego. Obok poważnych osiągnięć, jakie mamy na polu repolonizacji Warmii i Mazur oraz krzewienia na ich ziemiach bogatej kultury ludowej, pozostało jeszcze wiele, wiele do zrobienia.

Poniższe sygnały powinny stać się dla aktywu świetlicowego nauczycieli, bibliotekarzy i działaczy młodzieżowych wskazówką do zaktywizowania pracy w okresie jesienno-zimowym.

Praca kulturalna na Warmii i Mazurach

NIE TYLKO NAUCZYCIELE...

W gminie Małdyty (pow. Morąg) na 12 gromad, w 5 istnieją już spółdzielnie produkcyjne; poza tym na terenie gminy znajduje się parę zakładów przemysłowych, GS, Dom Dziecka. Wielu mieszkańców gminy pracuje na PKP czy w odległym o 15 minut jazdy koleją mieście powiatowym. W całej gminie nie ma prawie rodziny, z której by przynajmniej jeden członek nie był zatrudniony w przemyśle lub w instytucjach handlowych.

Niemniej jednak właśnie w tej uprzemysłowionej gminie występuje zjawisko słabego rozwoju życia kulturalnego. Jedynie czytelnictwo prasy (czytają tu głównie „Głos Olsztyński“, „Chłopską Drogę“, „Przyjaciółkę“) wypada zadowalająco: wracający z pracy w zakładach przemysłowych członkowie rodzin przywożą z sobą gazety. Ale na tej kolporterskiej funkcji kończy się też ich rola, jako kulturalnego zaczynu na wsi. Wolny od pracy czas blisko związanych ze wsią robotników przemysłowych czy pracowników umysłowych pochłaniają: grzebanie się w rodzinnej gospodarce — i miejscowa gospoda, wykazująca się rekordową w całym chyba województwie frekwencją.

W Małdytach istnieje biblioteka gminna; ma ona 3 gromadzkie punkty biblioteczne. O ile ilość czytających w bibliotece gminnej w Małdytach jest względnie zadowalająca (271 czytelników i 500 wypożyczonych książek na miesiąc), o tyle tragiczna — w punktach bibliotecznych. Np. w gromadzie Wilamów na 700 mieszkańców jest zaledwie 10 stałych czytelników (młodzież pracująca w przemyśle) i ze 20 niestałych w okresie zimowym. W tym jedynie 2 starszych chłopów!

Wpływa na to m. in. słaba propaganda czytelnictwa ze strony bibliotekarzy i — jeśli chodzi o chłopów starszych, nie tylko o dawnych analfabetów—brak zespołów dobrego czytania. Zespoły takie istniały wprawdzie w br. przez parę miesięcy w 2 gromadach, ale rozpadły się z rozpoczęciem siewów wiosennych.

W 12 gromadach gminy Małdyty nie ma ani jednej zadowalająco pracującej świetlicy i ani jednego stałego zespołu artystycznego. Wszelkie uroczystości gminne z częścią artystyczną organizowane są w ten sposób, że sekretarz Komitetu Gminnego telefonuje do GS, ZMP czy któregoś z nauczycieli i ci „na poczekaniu“ montują zespół i „program artystyczny“. Po uroczystości grupa artystyczna rozpada się bo nikt nie myśli o jej utrzymaniu i przy następnej akademii zaczyna się wszystko na nowo.

Przyczyny tego? **Po pierwsze** — nie wszyscy nauczyciele w Małdytach włączyli się na co dzień do walki o kulturalne oblicze gminy, **po drugie** — wszelką pracę kulturalno-oświatową zwala się tam wyłącznie na nauczycieli, uważając, że jedynie oni powołani są do „robienia“ kultury, przy czym aktywniejszych z nich jak np. Józefa Żubko czy Szcześniaka obarcza się dziesiątkami innych prac społecznych, a nawet obowiązkiem pisania protokółów z zebrań gromadzkich. **Trzecia** wreszcie przyczyna i najważniejsza — to absolutny brak zainteresowania losem świetlic w gm. Małdyty ze strony Pow. Domu Kultury w Morągu oraz niezrozumienie przez Prezydium GRN i Komitet Gminny faktu, że nie ma trwałych sukcesów naszego gospodarczego i politycznego budownictwa socjalistycznego na wsi bez sprawnej, stałej i planowej pracy kulturalno-oświatowej. **T. S.**

PGR ZAGUBIONY W CZASIE

Otrzymaliśmy alarmujący list o sytuacji kulturalnej w PGR Bądki (pow. Morąg). Jest tam wprawdzie młody nauczyciel-zetempowiec, Szaramowski, uczący w 4-klasowej, szkole dla dzieci pegeerowskich robotników, próbujący ożywić kulturalną martwotę tego PGR, ale wysiłki jego rozbijają się o krótkowzroczność kierownika, myślącego jedynie kategoriami „produkcyjnymi“ i o bierność różnych instytucji powiatowych. W wyniku tego robotnicy PGR Bądki nie posiadają żadnej możliwości kulturalnego życia, ponieważ w pegeerowskiej świetlicy znajduje się tylko pusta szafka i... prezydialny stół do zebrań załogi. Brak w niej natomiast krzeseł, które powędrowały do prywatnych mieszkań; brak też jakichkolwiek czasopism i gier świetlicowych, nie wspominając już w ogóle o samych zajęciach. Wielokrotne prośby nauczyciela o fundusze na jej wyposażenie zawiodły, gdyż Powiatowy Zarząd ZMP twierdzi, iż winno je dać kierownictwo PGR, a to zaś — że Zarząd ZMP. Zawiodły też próby zdobycia funduszów drogą urządzania publicznych zabaw, bo do pierwszej nauczyciel musiał dołożyć 300 zł dla wyrównania deficytu, a druga przyniosła „aż“ 11 zł zysku. Podobnie jest z pegeerowską biblioteką, do której kierownictwo od 2 lat nie może dorobić 2 półek, wskutek czego książki leżą zwalone na podłodze między podwójnymi drzwiami izby szkolnej.

PGR Bądki z braku światła elektrycznego nie odwiedza ani kino objazdowe, ani zespoły „Artosu“. Przez pewien czas przyjeżdżali tu prelegenci z Tow. Wiedzy Powszechnej z Olsztyna, ale i te rzadkie spotkania ze „światem“ od 6 miesięcy urwały się. Przyczyna? Ano, ani kierownik PGR Zieliński, ani funkcyjni pracownicy nie uważali za właściwe uczęszczać na wspomniane prelekcje. Więc przestali i robotnicy, zgodnie ze starym powiedzonkiem, że przykład idzie z góry...

Nic dziwnego, że w tych warunkach czytelnictwo prasy, formalnie dość wysokie (1 egz. gazety przypada na 1 rodzinę) ogranicza się w większości wypadków do obejrzenia fotografii w dziennikach. Z biblioteki również, na 51 pracowników i ich rodzin, korzysta jedynie 13 osób, z tego tylko 4 starszych pracowników, paru młodych (traktorzyści) i trochę dzieci. Pozostali robotnicy i ich rodziny nie czytają nic, albo prawie nic. Kierownik gospodarstwa — „oczywiście“ — również nie czyta.

Prostą już tylko, choć przykrą „formalnością“ będzie uzupełnienie tego obrazu wzmianką, że w PGR Bądki — zresztą, jak zawsze w takich wypadkach — brakującą człowiekowi książkę i świetlicę zastępuje wódka.



Rys. St. Szmidt

Wyniki tego stanu? Mówi o nich choćby przebieg tegorocznych żniw w PGR Bądki. Gospodarstwo to przez cały czas akcji żniwnej wlokło się w ogonie całego zespołu ku niemałej satysfakcji miejscowych kułaków, mających w tym fakcie dowody dla argumentacji przeciwko gospodarce socjalistycznej.

Z przytoczonych tu przykładów można wyciągnąć praktyczne wnioski: 1) że postawa kierownictwa PGR i jego stosunek do zagadnień kulturalno-oświatowych posiada poważny wpływ na kształtowanie się podobnej postawy u robotników; 2) że bez odpowiednio poprowadzonej pracy kulturalno-oświatowej w PGR-ach nie będą one odnosić sukcesów gospodarczych, nie potrafią wychować swoich robotników w duchu nowej moralności socjalistycznej i nie wywiążą się z roli propagatora socjalizmu wśród okolicznych chłopów.

Warto, by nad tymi problemami pomyślało kierownictwo PGR Bądki, Powiatowy Zarząd ZMP i instytucje, powołane do kontroli PGR. Zwłaszcza, że jest tam młody, chętny do pracy nauczyciel z awansu społecznego, któremu trzeba tylko pomóc i pokierować jego pracą; że jest tam wychowana częściowo przez niego grupa zatrudnionej w PGR młodzieży, rwącej się do sportu i zajęć świetlicowych; że wreszcie nawet wśród starszych członków załogi trafiają się tacy, jak 59-letni robotnik rolny Sawczuk, który dopiero w r. 1951 ukończył kurs dla analfabetów, a dziś uczęszcza już do 5 klasy szkoły podstawowej, prowadzonej wieczorami dla garstki chętnych przez młodego nauczyciela.

T. S.

BIUROKRACJJA I BEZDUSZNOŚĆ PRZEKREŚLA DOBRĄ ROBOTĘ

Dwa lata temu w PGR Weskojm (zespół Tolki, pow. Górowo Iławickie) była prowadzona praca świetlicowa i ZMP-owska. W ładnie udekorowanej świetlicy zespół artystyczny wystawiał aktualne sztuki sceniczne (Lachowicz: „Gospodarz — to ja!“). Była czynna biblioteka i gry świetlicowe. Młodzież grywała w siatkówkę w wolnych chwilach.

Wszystko jednak zepsuła biurokracja i bezduszność zarządu zespołu i brak opieki, brak pomocy ze strony władz powiatowych ZMP. Nieliczną i bardzo płynną grupę młodzieży zniechęciły niedorzeczne posunięcia ze strony tych instytucji. Przede wszystkim zarząd zespołu zabrał bibliotekę w liczbie 80 tomów, którą młodzież otrzymała w nagrodę za wydajną pracę. Powiedziano, że będzie urządzona ogólnozespołowa biblioteka ruchoma. Odtąd nikt tych książek w PGR Weskajm nie widział.

Z zabaw i przedstawień ZMP owcy uzbierali pokaźną sumę, za którą pragnęli kupić radio do świetlicy. Zjawił się jednak przedstawiciel Zarz. Pow. ZMP i zabrał pieniądze obiecując, że przyśle radio. Dotąd jednak radia nie ma.

W zespole Tolki jest etatowy przewodniczący Zarządu Zespołowego ZMP. Ma pod opieką 10 kół w gospodarstwach Zespołu. Mimo to od chwili wyborów (od maja) nie był w PGR Weskajm, nie zainteresował się pracą miejscowego koła ZMP. Tymczasem w PGR Weskajm nie odbywały się w ogóle zebrania koła ZMP, piłka została szybko rozbita, gdy świetlicowe rozszabrowano, a do świetlicy wprowadziła się z produktami i materiałami magazynierka PGR, zamykając oczywiście drzwi na wielką kłódkę.

W tej sytuacji rozrywką dla młodzieży i starszych stała się wódka. Dał się też zauważyć pogarszający się stosunek do pracy i mienia PGR-owskiego. A praca polityczna i kulturalna była w gospodarstwie szczególnie ważna. Załoga to autochtoni, przesiedleńcy z Kresów, Rzeszowszczyzny, ludzie z Polski centralnej. Wiele istnieje wśród nich uprzedzeń i niechęci. Brak kolektywu w pracy. Wielu ze starszych ledwie potrafi się podpisać, bo zapominają tego, czego nauczyli się na kursach dla analfabetów.

Podobna sytuacja istnieje w innych gospodarstwach. Rezultat? Cały zespół nie wykonuje planu i wlecze się w ogonie. Źle to działa na chłopów indywidualnych i liczne spółdzielnie produkcyjne powstające masowo w okolicznych wsiach.

Ten zastój w pracy kulturalnej i politycznej w PGR Weskajm przełamała częściowo praca żniwna brygady studenckiej z Uniwersytetu Warszawskiego (filologia polska I grupa II roku). Studenci odbyli z miejscowymi ZMP-owcami zebranie, gdzie przedyskutowali sprawy pracy politycznej. Ze świetlicy wyrzucili magazyn i ładnie udekorowali lokal. Tam w wolnych chwilach i w niedziele organizowali zabawy wspólnie z młodzieżą z PGR-u. Na zabawach występowali z programem artystycznym: piosenkami, recytacjami i felietonami satyrycznymi. Przywieźli oni biblioteczkę (30 tomów) dla młodzieży. Razem z kolegami i koleżankami z PGR-u pojechali ciągnikiem na wycieczkę do Fromborka, aby zwiedzić muzeum Kopernika i pobyć nad morzem.

Warszawscy studenci postanowili nawiązać po wyjeździe stałą łączność z młodzieżą PGR-u i pomagać jej w pracy politycznej i kulturalnej przez wysyłanie odpowiednich materiałów. To jednak nie wystarczy. Najwyższy czas, aby instancje ZMP z powiatu i zespołu zapewniły pełną pomoc dla młodzieży tak, aby mogła ona kontynuować dobrą pracę kulturalną i świetlicową.

Beg.

Gazetka gminna

Gienia — aktywistka

Podajemy wniosek nagły, żeby koniecznie wyróżnić sklepową Gminnej Spółdzielni w Drużbicach, pow. Piotrków Trybunalski — ob. Genowefę Stręgiel. Zasłużyła się kobieta dzielnie przy żniwach. Są w gminie tacy chłopi, którzy jej tych zasług nie zapomną do końca życia. I co godne podkreślenia — kosą nie machała, nikt jej w polu nie widział. W sklepie też bardzo rzadko. Wcale nie żartujemy, ta nieobecność bardzo dobrze wpływa na przebieg żniw.

Bo i pomyśleć tylko! Jasne to przecież niczym słońce, że jak chłop w sklepie nie wysiaduje — więcej w polu robi. Nie kupi mydła, to i czasu na mycie nie straci. Nawet wtedy, gdy po osełkę przyleci, czy sznurek do snopowiązałki, a nie dostanie — korzyść z



Rys. St. Szmidt

tego wielka. Kosą żywiej musi ruszać, powrósła kręcić — stąd krzepa w narodzie większa.

Ale — trzeba to przyznać — ob. Genowefa bywała od czasu do czasu w sklepie. Obecność jej także przynosiła znaczne korzyści. Przyleci chłop po piwo — usłyszy:

— Opijesz się jak bąk, chętka do roboty cię odleci, współzawodnictwa przez ciebie nie wygramy.

I koniec z piwem.

Widać tedy na przykładzie dzielnej Genowefy, że kiedy jest dobra wola, nawet brak możliwości zaopatrzenia się w to czy tamto, wychodzi na dobre.

I jakże więc nie zabiegać o wyróżnienie dzielnej sklepowej? Można by to zrobić tak: ogłosić artykuł w Gazetce Gminnej, obudzić senny PZGS w Piotrkowie. Niechże zamieni ob. Genowefę w zwykłego śmiertelnika i na 10 lat poleci zaopatrywać się w sklepie prowadzonym jej metodą. Stanowczo na taką przyjemność nasza aktywistka zasłużyła.

JAN WICHURA

(Na podstawie listu mieszkańca Drużbic. Nazwisko znane redakcji).

Dobry pomysł

Jakbyście się kiedy wybrali w powiat sieradzki, a przy tej okazji zawadzili o gromady Bukowiec, Chajew i Gęsin to — posłuchajcie naszej rady — nie pytajcie chłopów co słychać, bo wyniknie nader głupia sytuacja. Widzicie — oni naprawdę nic nie wiedzą. Spytacie — co w gazetach, a oni do was: A co to jest gazeta? Zagadniecie o rodzinę, krewnych z dalekich miast — ta sama historia — ani be ani me. Zapomnieli jak wygląda list i znaczek pocztowy.

Coś niecoś wiedzą o tych sprawach jedynie małoletnie dzieci. Dzieje się tak dlatego, że listonosz ob. Stanecki Czesław wpadł na dobry pomysł. Rzeczywiście, po co się taki jeden z drugim pięciolatek ma w piasku grzebać, kiedy może upowszechniać kulturę. No i upowszechnia. Co dzień rano pan Stanecki, chwiejąc się lekko na nogach i szeroko gestykulując, wręcza rozentuzjazmowanym dzieciom plik zaprenumerowanych gazet i listy.

— Roznieście to eep, po świecie... eeeppp, moje sokoliki!

A dzieciom w to graj! Obejrzą obrazki, zmajstrują papierowe chełmy, poodrywają znaczki, w polu przykucną, chrustu naznoszą i resztą poczty zapalą piękne ognisko. Rzecz prosta trudno pana Staneckiego obarczać odpowiedzialnością za brak odpowiedzialności u dzieci. I nie o to zresztą idzie, lecz o doskonały pomysł zaktywizowania najmłodszych.

Warto tu dodać, że gromada dokłada do tej aktywizacji ładny grosz. Widzicie — rzecz ma się tak, że listonoszowi skaczą po głowie genialne pomysły, kiedy sobie porządnie pociągnie. Najmniej litr na jedno posiedzenie. Posiedzeń zaś odbywa zazwyczaj kilka w tygodniu, więc też sobie pokrywa koszty z pieniędzy, jakie powinny nadejść do chłopów pocztą.

Osądźmy teraz spokojnie pomysł pana listonosza. Ma on poważną zaletę: szkolą się kadry, może któreś z dzieci zastąpi Staneckiego jak podrośnie Za długo czekać? — powiadacie. Tak, to prawda, ale nie ma innego wyjścia. Nie wierzycie? Zapytajcie się w Powiatowym Urzędzie Pocztowo-Telekomunikacyjnym w Sieradzu.

JERZY SMUTNY

Nie wszystko jeszcze zginęło...

Chłopi z gromady Danielów, pow. Piotrków Trybunalski twierdzą, że urodzili się pod smutną, błędną gwiazdą. Prześladuje ich bowiem pech: wszystko we wsi ginie, a już osobliwie gromadzkie pieniądze.

Była jeszcze za poprzedniego sołtysa spora grupka kułaków we wsi. Nie masz ich dzisiaj, jeżeli wierzyć księgom gminnym. Po prostu takim, jak Trzęsiak, Krawczyk, trzej bracia Tarneccy zaginęła ziemia. A przecież ludzie gotowi klnąc się na Boga, że jeszcze niedawno temu mieli solidne gospodarki, liczące od 15 do 20 ha. Tyle może na swym zaginięciu skorzystali, że podatki płacą mniejsze.

Albo weźcie słynne polowanie na dziki w rejonie Danielowa. Zwierzyna czyniła poważne szkody, ubili tedy chłopi niemało sztuk i sprzedali, ale pieniądze gdzieś się ulotniły. Sołtys powiada, że papierki zżarły pozostałe przy życiu dziki przez zemstę. Ale nie wiadomo czy to prawda.

Inny przykład. Chłopi co do grosza wpłacili samopomocowe składki na ręce sołtysa. Długo miejsca w kasie nie zagrzały. Ulotniły się cicho, bez szumu i tyle.

No, a ostatnio zaszedł wypadek jeszcze bardziej przykry. Kwaterowało we wsi nasze wojsko ludowe. Żołnierze pomagali w pracach polowych, ożywili życie kulturalne. Z wdzięczności postanowili danielowiacy zakupić dla żołnierzy krowę. Krowa wprawdzie nie zginęła, bo jej nie było, przepadły natomiast zebrane przez chłopów pieniądze.

Tak więc — sami to widzicie — w Danielowie wszystko ginie. Jeden tylko sprawca całego zła — sołtys Trzęsiak w żaden sposób przepaść nie chce. A przecież powinien i on zaginąć dla podtrzymania tradycji i dla dobra gromady również.

JAN BIEGAŁA

(Na podstawie listu mieszkańca Danielowa. Nazwisko znane Redakcji)

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 8-00-81.
Adres redakcji: Warszawa, pl. Starynkiewicza nr 7
Telefony: Red. Nacz 863-86 Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA“, Warszawa, ul Marszałkowska 3/5 4-B-19518